Nr 26 2016
www.zielonewiadomosci.pl

ZIELONE WIADOMOŚCI

• ekologia • społeczeństwo • demokracja •

DOBRA WSPÓLNE. UTOPIA CZY KONIECZNOŚĆ?

Fot. Donna Cleveland Flickr.com

CZEKALIŚMY NA PAPIEŻA

Rozmowa z Prof. Stanisławem Obirkiem - teologiem, historykiem, antropologiem kultury, byłym jezuitą.

Piotr Kozak: Właściwie to po co nam wspólnota?

Stanisław Obirek: Nie mogę odpowiedzieć jednoznacznie, że wspólnota jest dobra albo zła. Różnie bywa. Sądzę, że każdy ma jakieś doświadczenie dzieciństwa, rodziny, w której się urodził, i to jest doświadczenie podstawowe, do którego się odwołujemy. To nam daje zakorzenienie w społeczeństwie. To pierwsze doświadczenie wspólnoty jest dla mnie osobiście bardzo ważne i pozytywne. Być może dlatego, że pochodzę z rodziny wielodzietnej. Mam szóstkę rodzeństwa i to jest pierwszy moment myślenia o wspólnocie – myślenie o siostrach, braciach i rodzicach. Z drugiej strony stosunkowo szybko rodzinę opuściłem i zamieszkałem w internacie. To już był inny typ wspólnoty, mimo że internat może się kojarzyć z półwięziennym życiem – to były lata 70-te, głęboki PRL, małe miasteczko. Reżim dyscyplinarny dość duży. Nie buntowałem się, bo nie miałem świadomości, że może być inaczej. Ale wtedy, jako nastolatek, dostrzegałem też inną, pod pewnym względem mocniejszą więź z rówieśnikami opartą na wspólnocie zainteresowań.

PK: Buntowałeś się?

SO: W latach 70-tych wyrażało się to dość mocno przez odmienność stroju, długich włosów. Sygnalizowaliśmy, że należymy do innego świata. Oczywiście to wszystko działo się z pewnym poślizgiem w stosunku do świata zachodniego, ale dzisiaj z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że powtórzyłem gest kontrkulturowy, który studenci artykułowali w latach 60-tych. Można powiedzieć, że było to odrzucenie burżuazyjnych wartości, ale dla mnie to był proces upodmiotawiania. Moja rodzina pozwoliła mi na to, odcięcie w sferze obyczajowej nie oznaczało w moim wypadku zerwania więzi. Funkcjonowałem trochę na zasadzie „Staszek jest inny". Być może też zawsze wartość wspólnoty oceniałem przez jej łatwość akceptacji odmienności. O tyle jest ona dobrą wspólnotą, o ile nie tłamsi indywidualności. Ta wspólnota, która jest zdolna kwestionować własne wartości, jest wspólnotą dającą poczucie bezpieczeństwa. Natomiast wspólnota, która nie jest w stanie tego zrobić, powoduje, że w pewnym momencie musi dojść do rozejścia. W moim przypadku nastąpiło to po 30 latach funkcjonowania we wspólnocie zakonnej.

PK: Kim więc jesteś, Stanisławie Obirku? Polakiem, wykładowcą? Należymy do wielu wspólnot, ale jest takie przekonanie, że powinniśmy wybrać jedną dominującą wspólnotę. Np. przede wszystkim jestem Polakiem, warszawiakiem itd.

SO: Myślę, że to nie jest dobre oczekiwanie społeczne. Nie mam takiej potrzeby dookreślania się, kim jestem, tzn. wszystkie moje kręgi przynależności traktuję jako przypadkowe w sensie kulturowym. To, że urodziłem się Polakiem, że rozmawiamy po polsku, że wiele lat spędziłem we wspólnocie jezuickiej – nie przywiązuję do tego większej wagi. To jest pewien przypadek, że tych siedem miliardów ludzi ma różne konfiguracje przynależności kulturowej. Jednak to, że nie absolutyzuję tych kręgów kulturowych, nie oznacza, że uważam, że są one nieistotne. Istotne jest jednak to, co z tymi przynależnościami robimy. Szczególnie w obecnym momencie, w którym w Polsce ma miejsce wzmożenie nastrojów patriotycznych, podkreślanie przynależności do polskości, a co za tym idzie, tworzy się narracje dumy narodowej czy pewnej historycznej wyjątkowości.

Sprowadzanie na siłę mojej tożsamości do pewnego kręgu kulturowego jest nie tylko niemądre, ale również szkodliwe. Zamykamy wtedy oczy na złożoność tych przynależności. Bardzo mi trudno na przykład włączyć do mojej polskiej tożsamości nasze kolonialne dziedzictwo na Wschodzie. Pisał o tym francuski historyk Daniel Beauvois, a wiele z jego twierdzeń przejął w swojej znakomitej książce *Fantomowe ciało króla* Jan Sowa. Chętnie przyznajemy się do tolerancji i do dziedzictwa jagiellońskiego, pomijamy natomiast te ciemne strony, bo w końcu polskość ma być konstruktem idealnym. Ma być mitem, który mnie uskrzydla. W praktyce jest to dość prymitywna i paraliżująca zbroja rodem z najgorszych tradycji nacjonalistycznych.

PK: Skąd się bierze taka potrzeba idealizowania? Bo bez wątpienia mamy skłonność do zapominania o ciemnych kartach naszej historii.

SO: Myślę, że Andrzej Leder wskazał na pewien istotny element naszej świadomości (*Prześniona rewolucja. Ćwiczenie z logiki historycznej, 2014*). Mechanizm prześnionej rewolucji opiera się na niewzięciu odpowiedzialności za to, co się działo w naszej historii. Leder zastosował klucz psychoanalityczny, ale myślę, że o wiele trafniejsze są niejednowymiarowe interpretacje. Myślę np. o Niemytych duszach Witkacego, który zrobił psychoanalizę naszym kompleksom. Oczywiście zrobił to w niezdyscyplinowany sposób, ale tam jest pewna odpowiedź. Jest to wizja Witkacego, którego rzeczywistość Polski okresu międzywojennego niezwykle martwiła – wizja, w której prężymy muskuły i gardzimy innymi, a tymczasem są to kompensacje nieprzepracowanych kompleksów niższości kulturowej. Myślę, że psychoterapia tożsamości kulturowej jest nam niezwykle potrzeba.

PK: W szczególności teraz!

SO: Rozmawiamy po roku od „dobrej zmiany" i jak na dłoni widać, że grupa rządząca, od Kaczyńskiego przez Dudę po Szydło, ma ogromny kłopot ze swoją tożsamością. „Dobra zmiana" jest mechanizmem kompensacyjnym, nie ma nic wspólnego z budowaniem wspólnoty, ale jest ucieczką w niedojrzałość. Jest to infantylizm wręcz chłopięcy. Infantylizm dzieci, jak Macierewicz bawiących się w wojnę.

PK: My chyba nigdy nie byliśmy jedną wspólnotą. Bez względu na to, czy mówimy o okresie piastowskim, oświeceniu, czy o okresie międzywojennym. Zawsze to było szycie wielu wspólnot. Zawsze były to również konflikty – konflikty na poziomie chłop-szlachta, konflikty na poziomie religijnym czy narodowym. Infantylizm polega też chyba na przeświadczeniu, że był taki moment w historii rzeczywistej lub mitycznej, w której tworzyliśmy jedną wspólnotę, i ktoś nam tę wspólnotę zabrał.

SO: To jest znowu ten mit utraconego raju. Wypędzenia z łona matczynego. Nawet naród to jednak kategoria wyobrażona. Oczywiście można się zastanawiać, jakie funkcje spełniało pojęcie narodu w końcu XIX wieku. Na pewno polski nacjonalizm ma jednak cechy typowe dla narodu małego z poczuciem krzywdy. Przykładem może być cały nasz romantyczny okres kompensacji narodu pozbawionego tożsamości politycznej, który osiągnął swoje apogeum w idei Polski-Chrystusa narodów. Dla obcokrajowców jest to po prostu groteskowe.

Myślę, że podobne cechy ma nacjonalizm żydowskich ultrakonserwatystów w Izraelu. Zresztą trzeba jasno powiedzieć, że ani Polacy, ani Żydzi nie mają tutaj monopolu. Nacjonalizm daje o sobie znać również w krajach o ugruntowanych tradycjach demokratycznych, jak Francja czy Stany Zjednoczone. Warto jednak zauważyć, że zwykle tam, gdzie najżywiej budzą się demony nacjonalizmu, pojawiają się też równie żywe reakcje. Przykładem jest bardzo mi bliska koncepcja postetnicznej Ameryki, wypracowana przez Davida Hollingera. Ale nacjonalizmy i populizm zdają się dzisiaj dominować.

PK: Masz pomysł, jak to zmienić?

SO: Potrzebna jest nam redefinicja polskości. Po pierwsze, jak pokazała Olga Tokarczuk w *Księgach jakubowych*, Polska w swojej historii nigdy nie była tworem jednolitym religijnie. Po drugie, mamy już wystarczająco dużo dowodów, że kultury monoetniczne lub monoreligijne źle kończą. Są jałowe kulturowo. Po trzecie, żyjemy w erze globalizacji, w której jeżeli możemy mówić o lokalnej tożsamości, to na zasadzie kultury lokalnej dosłownie bombardowanej wpływami globalnymi. Każdy, kto tego nie uwzględnia w swoim myśleniu o tym, kim jest, skazany jest na śmieszność.

PK: Być może mamy tylko tę śmieszność. Chcę się postawić w roli adwokata diabla. Z punktu widzenia naszej kultury – marginalnej pod względem dorobku cywilizacyjnego – powrót do korzeni, do tożsamości narodowych, to prawdopodobnie jedyne co mamy. Przez ostatnie 25 lat zaciskaliśmy pasa. Teraz dochodzimy do pewnej granicy rozwoju ekonomicznego. Być może jedyne, co mamy, to groteskowość, a już na pewno nie działa zawołanie: „jesteście groteskowi, idzie globalizacja, nie nadążacie".

SO: Oczywiście nie o to chodzi! Zauważ, że ci, którzy dzisiaj tworzą mit Polaka, który był wykluczony przez ostatnie 25 lat, nie są osobami poszkodowanymi przez transformację. Powodem ich cierpienia mogło być co najwyżej to, że nie są autorami głównej narracji. Kaczyński czy Macierewicz nigdy nie byli wykluczeni, choć z pewnością czuli się wykluczeni. Obecna dobrozmianowa narracja o dowartościowaniu wykluczonych jest narracją fałszującą. To nie jest tak, że daje się platformę do artykulacji tym, którzy do tej pory nie mieli głosu. Operacja jest o wiele bardziej skomplikowana. Znacznie silniejszy niż inkluzywizm jest ekskluzywim – jeżeli nie jesteś z nami, jesteś przeciwko nam. Nawet brak entuzjazmu dla dobrej zmiany jest postrzegany jako zdrada. Jest też pewna nowa jakość. Mamy do czynienia z perfidnym aliansem z upolitycznioną religią. Rydzyk ze swoją retoryką wykluczenia i nienawiści bardzo dobrze wpisuje się w nową rzeczywistość. Spotkanie religii z polityką o wyraźnych tendencjach autorytarnych jest nową, a zarazem bardzo groźną jakością. Kościół w swej większości z sympatią patrzy na to nowe przymierze. Tego nie było nawet w okresie międzywojennym! Większość księży w latach 30. była przeciwko sanacji.

PK: Co jest nam zatem potrzebne? Zerwanie z religią? A może jest właśnie odwrotnie? Być może jest to jakieś światełko w tunelu? Zgadzam się z Tobą wprawdzie co do diagnozy i co do sojuszu kościoła i państwa, ale być może jest jakaś nadzieja we wspólnotach religijnych. Dostrzegasz jakiś potencjał emancypacyjny religijnych wspólnot? Istnieje w kościele jakiś ruch, który idzie w poprzek negatywnych prądów?

SO: Mamy pewne doświadczenie z historii, które może nam ułatwić odpowiedź. Myślę o katolicyzmie w Europie w latach 60-tych. Mieliśmy wówczas do czynienia z rosnącym oddalaniem się od świata i coraz większym poczuciem izolacji u Piusa XII. To był papież, który nie był w stanie nawiązać kontaktu, nie mówiąc o jakimkolwiek dialogu ze światem zewnętrznym. Silne było jednak przekonanie, że trzeba coś zmienić i nie bez przypadku słowa, których użył Jan XXIII, to aggiornamento (uwspółcześnienie) i dialog. Jan XXIII, człowiek wówczas stary i schorowany, przez kilka lat pontyfikatu wskazał przynajmniej kierunki możliwego rozwoju, co radykalnie odmieniło kościół. Oczywiście potem mieliśmy okres restauracji i zamrożenia u papieża Polaka i jego następcy. Niemniej od trzech lat coś się znów zmienia.

PK: Nawet w Polsce?

SO: Myślę, że brak krytycyzmu i nienaruszalność ikony papieża, które zastosował episkopat po śmierci Jana Pawła II, powoli pękają. To było skuteczne przez około 10 lat. W tej chwili ten paroksyzm oblężonej twierdzy przekłada się na bardzo sceptyczny stosunek do Franciszka. Oczywiście żaden biskup nie posunie się do tego, by – jak w przypadku Terlikowskiego – otwarcie zarzucać Franciszkowi zerwanie z dziedzictwem Jana Pawła II, ale myślą tak. Paradoksalnie jest to znak nadziei. To jest jak późny Breżniew. Również wówczas wydawało się, że jest to nie do ruszenia. Sowietologów zaskoczyła pierestrojka. Podobnie w Polsce. Polski kościół nie ma języka, żeby zasymilować Franciszka. Rydzyk ze swoimi wielomilionowymi dotacjami, biskupi grzmiący na gender, inicjatywy antyaborcyjne – to wszystko jest tylko wielkim znakiem odklejenia od rzeczywistości i tego, czym żyją ludzie. Społeczeństwo jest inne. Ludzie wyjeżdżają i wracają. Więc nie ruchy religijne. Nie powstanie nowy zakon jezuitów XXI wieku. Kościół nigdy się nie zmieniał z własnej inicjatywy. Zmiany były zawsze wymuszone. Wymuszenie na Kościele tych zmian w tej chwili przyjdzie z góry – od papieża. Oczywiście jeśli pożyje wystarczająco długo.

PK: No, ale czekaliśmy na papieża, tymczasem jego pobyt pod koniec lipca 2016 roku nic w Polsce nie zmienił!

SO: Tak, to prawda, wielu czekało na papieża i mieli nadzieję, że coś zmieni. Trzeba jasno powiedzieć, że nie zmienił nic. Ale młyny kościelne wolno mielą. Papież może zmienić polski katolicyzm, zmieniając biskupów. Tak się już dzieje w innych krajach. Tak samo stanie się też i w naszym.

Fot. z archiwum domowego S. Obirka

ZMIANA, KTÓRA BĘDZIE OBOK?

Lech Mergler

Od kilkunastu dni demoliberalny świat nie może się pozbierać - oto zadeklarowany rasista, ksenofob, seksista, zwykły nieokrzesany cham i kłamca, a do tego miliarder (ale nie z pucybutów, tylko po rodzicach) został najpotężniejszym człowiekiem świata - wybrany na prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Dlaczego? Jak TAKI KTOŚ mógł przekonać do siebie Amerykanów? Te pytania i pochodne są obecnie obracane na wszelkie możliwe sposoby przez wszystkie media zajmujące się polityką.

W Polsce po całej serii wyborów, których wyniki tak mało były spodziewane, jak przejechanie przez byłego prezydenta po pijanemu na przejściu dla pieszych przy czerwonym świetle zakonnicy w ciąży – amerykański szok nieszczególnie powinien zaskakiwać. Po drodze przydarzył się jeszcze Brexit i wybory w Austrii. Wydarzenia te miały miejsce zdecydowanie wbrew bazującym na sondażach kwalifikowanym przewidywaniom, potęgując zaskoczenie. Tak jakby nagle, w ciągu kilkunastu miesięcy, zasadniczo zmieniła się – przynajmniej dla istotnych dotąd dominujących środowisk obserwatorów – logika funkcjonowania świata polityczno-społecznego, radykalnie uniemożliwiając trafną w nim orientację.

Czyj świat?

Osobiście sądzę, że nie tyle świat nagle się zmienił, co dość gwałtownie stało się jawne wszem i wobec, a nie tylko dla licznych, ale niekoniecznie eksponowanych środowisk, że nasz świat jest wyraźnie inny, niż zdawało się środowiskom opiniotwórczym. Ta „inność" nie była przez całe dziesięciolecia dostrzegana albo nie była przyjmowana do wiadomości. Więc i polityka kreowana w oparciu o taki stronniczy ogląd świata musiała być polityką jednostronną. Skoro model świata, praktycznie służący jako jego mapa, określający to, co potrafimy zobaczyć (bo tego, czego nie ma na mapie, nie można odnaleźć w rzeczywistości) odwzorowuje świat wybiórczo, to działanie w tym świecie, przynajmniej do czasu, musi być ograniczone tylko do niektórych ludzi, rzeczy i procesów, a inne musi ignorować. Ale właśnie do czasu. I ten czas graniczny najwyraźniej nadszedł – albo nadchodzi: czas Zmiany (?).

Płynny, ponowoczesny świat globalny miał być przychylny dla **Silnych i Sprawnych**. I tak też został skrojony – pod ich potrzeby i możliwości, co nie zawsze było do udźwignięcia dla pozostałych. Ograniczenia sprawczej aktywności Silnych – w tym rozmaite serwituty na rzecz tych, którzy nie byli Silni – zostały rozbrojone jako krępujące. Uwolnienie od ograniczeń, wyzwalające aktywność tych, którzy nieśli potencjał sprawczej energii, miało przynieść niedostępny wcześniej przyrost bogactwa i pomyślności. Najpierw („zasłużenie") tym, którzy go wygenerowali, ale z czasem korzyści miały mieć powszechny zasięg i objąć wszystkich.

Że tak się nie stało, że korzyści z „uwolnienia" aktywności Silnych i Sprawnych na rzecz bogactwa i rozwoju bynajmniej nie stały się udziałem wszystkich, nawet większości – dziś już wiadomo. Dochodzenie do takiej świadomości, czyli uświadamianie sobie głębokiego rozczarowania tak niesprawiedliwym urządzeniem świata trwało długo, a dzisiaj ta świadomość eksploduje. Na szczęście w akcie wyborczym, a nie krwawej rewolcie. Zbuntowanym i rozgoryczonym nie chodzi tylko o materię, bogactwo czy dobrobyt, ani tylko materialne bezpieczeństwo. Chodzi też o **sens i godność, poczucie wartości własnej**. Została ona fundamentalnie podkopana przez ko jednostki („There is no such thing as society" – Margaret Thatcher) walczące z innymi o indywidualny sukces, to jeden z aksjomatów neoliberalizmu. W Polsce w okresie transformacji społeczno-ekonomicznej establishment wbił do głowy nawet szczerym i wytrawnym socjaldemokratom (np. Jackowi Kuroniowi...), że im bardziej brutalny kapitalizm zostanie zaprowadzony, tym lepiej, bo tym szybciej będziemy się rozwijać i stawać się krajem naprawdę cywilizowanym. Stąd porządki zaprowadzane po 1990 r. tworzyły kraj przyjazny dla „ludzi sukcesu", którzy mieli wreszcie utworzyć upragnioną, oczekiwaną klasę średnią. Reszta, czyli większość, znalazła się we własnym (?) kraju i państwie na pozycjach peryferyjnych. Można powiedzieć, że została „porzucona" przez własne państwo i jego elity.

Fot. Piotr Drabik –Flickr.com

propagowany masowo wzorzec mentalny, w myśl którego na szacunek zasługuje jedynie człowiek tzw. „sukcesu" (kasa, sława, władza), a pozostali to nieudacznicy. Ponieważ „sukces" jest udziałem zdecydowanej mniejszości, powyższa konstrukcja generuje – po upadku nadziei na automatyczne i „naturalne" spłynięcie bogactwa „w dół" hierarchii (dzieje się dokładnie odwrotnie) – oceany frustracji i upokorzenia, a potem wściekłości i agresji.

Wolność – bez równości i braterstwa

Znoszenie ograniczeń dla swobodnej działalności kreatorów „bogactwa i rozwoju" ma za uzasadnienie ideę indywidualnej wolności, wyniesionej ponad wszystko i oderwanej od innych nowożytnych fundamentów aksjologicznych dobrego społeczeństwa, czyli równości i braterstwa. „Inni" to piekło i konkurencja, jesteście sami i musicie sobie radzić. Społeczeństwo nie istnieje, są tylko jednostki.

Tymczasem to właśnie słabsi (społeczno-ekonomicznie, politycznie) członkowie społeczności, których zwykle jest najwięcej, potrzebują władzy, państwa, prawa dla chronienia ich podstawowych potrzeb. Nasilniejsi i najbogatsi mogą sobie wszystko kupić (albo „załatwić"): od bezpieczeństwa i sprawiedliwości po zdrowie i wykształcenie. Działo się odwrotnie, w rezultacie rozwój („rozwój"?) miał charakter jednostronny, koślawy. Rozwój dla jednych, stagnacja dla wielu innych. W rezultacie **rozpadło się ogólnospołeczne „my"**, w Polsce żywe jeszcze na początku lat 90-tych. Rozpadło się na dwa społeczeństwa, kiedyś komplementarne, potem alternatywne, obecnie przeciwstawne. Ściślej – na cały archipelag „segmentów" społecznych – społeczności, środowisk, obozów, plemion mających ze sobą coraz mniej wspólnego. Na krótszą metę to społeczne rozbicie i nierówności sprzyjały interesom grup najsilniejszych. W ostatnim czasie pojawiła się świadomość ekonomicznych kosztów takiej sytuacji (Picketty i „Kapitał XXI wieku") i zagrożeń dla całokształtu ładu światowego, ale mocno za późno.

Sama kategoria „wspólnoty" była w demoliberalnym dyskursie nacechowana raczej negatywnie, z historycznie uzasadnionych powodów – skojarzeń z nacjonalizmem, ksenofobią, autorytarnym kolektywizmem sprzecznym z indywidualną wolnością. Używano neutralnych pojęć „społeczeństwo", „społeczność" – opisowych, a nie nacechowanych, jak „wspólnota", afirmacją i metafizyką potencjalnie groźną. Do wspólnoty się przynależy i ona wiąże, rolę społeczną się przyjmuje i bywa, że można ją negocjować lub zmienić. Okazało się jednak, że dla bardzo wielu „wspólnota" jest jak żyzna gleba, bez której życie nie jest możliwe albo pozostaje jałowe. I groźne, bo z ich perspektywy bez przynależności jednostka jest nikim, jest sama, wyobcowana, bezbronna. „Istnienie zbiorowe" ma dziś swoje silne racje w konfrontacji z liberalną, indywidualną wolnością. Obok **upokorzenia** ze strony systemu nobilitującego Silnych, a pozostałych dyskredytującego, oraz realnego **upośledzenia** pod względem szans na zaspokojenie potrzeb życiowych na wystarczającym poziomie – **destrukcja** więzi wspólnotowych jest najistotniejszym źródłem narastającej frustracji, wściekłości i na koniec buntu.

Polskie końce świata

W Polsce stare wspólnoty straciły przywódców przez wojenne wyniszczenie elit, co zdaniem Andrzeja Ledera („Prześniona rewolucja") było częścią rewolucji społecznej spowodowanej przez nazistów i radzieckich. Przede wszystkim jednak **wspólnoty rozpadły się z historycznych powodów** – na skutek wojny, eksterminacji, wysiedleń i przesiedleń, migracji ze wschodu na zachód oraz ze wsi do miast i z prowincji do centrum, urbanizacji i industrializacji. Oraz, zwłaszcza, opresji komuny, która intencjonalnie rozbijała stare więzi wspólnotowe, zaprowadzając „nowy kolektywizm", programowo plebejski. Wielki ruch „Solidarności" to była skoncentrowana emanacja tego egalitarnego, socjalistycznego społeczeństwa, posiłkująca się tradycyjną symboliką – narodową i religijną. Z kolei transformacja ustrojowa lat 90-tych ten kolektywny ład rozbiła, a wcześniejszych więzi nie ożywiła – bo nie mogła i nie chciała.

Socjolog Stefan Nowak w latach 70-tych odkrył fenomen „próżni socjologicznej". Badania pokazały, że Polak/Polka dysponuje identyfikacją społeczną na dwóch przeciwstawnych poziomach – mikro i makro. Poziom mikro obejmuje rodzinę, krewnych, najbliższych przyjaciół i sąsiadów. Poziom makro to (wyobrażony) naród polski, także z kościołem rozumianym dość abstrakcyjnie. Pomiędzy nie było nic – żadnych innych społecznych bytów średniej skali, z którymi Polacy by się identyfikowali, jak kluby, zrzeszenia, organizacje społeczne, związki zawodowe, korporacje branżowe, lokalne zrzeszenia mieszkańców itp. Nie oznacza to, że takiej społecznej organizacji nie było, przeciwnie, była i bywało, że ludzie byli w tę działalność głęboko zaangażowani. Jednak badania pokazały brak głębszej identyfikacji z nimi, typu wspólnotowego. Jest oczywiste, że komuna nie dopuszczała autentycznej, oddolnej i autonomicznej aktywności, która nie byłaby politycznie kontrolowana, jako niedopuszczalnego przejawu wolności zrzeszania się.

ciąg dalszy na str. 4

ZMIANA, KTÓRA BEDZIE OBOK?

ciąg dalszy ze str. 3

Socjalistyczny kolektywizm był specyficznie „abstrakcyjny", czego wyrazem był ogólnonarodowy zryw „Solidarności", a jednocześnie np. kompletny brak szacunku dla własności wspólnej, czyli społecznej. Transformacja ustrojowa lat 90-tych unicestwiła ten niewielki pozostały po jej rozbiciu potencjał uspołecznienia i wspólnotowości, przez komercjalizację osłabiła więzi rodzinne , przyjacielskie, sąsiedzkie, zaś „naród" i kategorie pochodne na lata znikły z mainstreamowego dyskursu publicznego. W sensie egzystencjalnym **zwykły człowiek pozostał z niczym**. Niektórzy karmili się długo iluzjami szans na materialny sukces, mający umożliwić satysfakcjonujące sycenie się konsumpcją. Kraj widziany jako supermarket, a społeczeństwo jako jego klientela, może być atrakcyjny, ale tylko kiedy ma się forsę...

Transformacja... świadomości

Czas transformacji społeczno-ekonomicznej, czyli lata 90-te, to okres destrukcji mentalnego ładu posocjalistyczno-posolidarnościowego. W istocie chodziło od odwrócenie porządku (względnego), jaki ludzie mieli w głowach po kilkudziesięciu latach centralnie planowanej, niekomercyjnej gospodarki państwowej, stosunków kolektywnych i autorytarnych rządów oraz po ogólnonarodowym doświadczeniu zrywu „Solidarności", a potem złamania tego ruchu. Zadanie było karkołomne – wykazać, że polityka radykalnego **odejścia od idei „Solidarności"**, z całym ich aksjologicznym zapleczem (w tym lewicowym, wspólnotowym, socjalnym), **to konsekwentna i wierna ich realizacja**. Różnym wymiarom tych praktyk i reakcjom na nie poświęcono trochę uwagi, powstało kilka znaczących książek, niekoniecznie eksponowanych – m.in. „Klęska 'Solidarności' Davida Osta, „Prywatyzując Polskę" Elizabeeth Dunn albo „Siedmiolatka, czyli kto nam ukradł Polskę" Jacka Kuronia. Nie wchodząc tu w szersze analizy, warto przypomnieć niektóre obrazy sytuacji perswazyjno-dyskursywnych charakterystycznych dla tamtego okresu.

Społeczny, socjalny, wspólnotowy i lewicowy (socjalistyczny – poza własnym doświadczeniem i oceną taką interpretację NSZZ „Solidarność" lat 80-tych daje Karol Modzelewski, ówczesny rzecznik prasowy Związku, w swojej głośnej, autobiograficznej książce „Zajeździmy kobyłę historii, czyli wspomnienia poobijanego jeźdźca") charakter związku „Solidarność" propaganda wczesnej transformacji przykryła dyskursem antykomunistycznym, narodowym, wolnościowym. Jakkolwiek prawdopodobnie największe znaczenie perswazyjne miała obietnica powszechnego **zbawienia w raju masowej konsumpcji**, dobrobytu dla wszystkich, który zapewni kapitalizm jak najbardziej „ortodoksyjny" – w obiegu była narracja o „tygrysach wschodu", których błyskawiczny rozwój gospodarczy miał być wzorem.

W zwięzłej syntezie propagowanej ówcześnie, topornej aksjologii rywalizacja (indywidualna o „sukces") była przeciwstawiona współdziałaniu, egoizm – solidarności, interesowność – altruizmowi, indywidualność była przeciw wspólnocie, a pragmatyczny materializm przeciw idealizmowi, rynek („wolny") – państwu („marnotrawnemu" i „rozbuchanemu"), a władza publiczna (niewydolna i sprzedajna) – biznesowi (z natury efektywnemu). Taki naiwny i prostacki przekaz miał być odtrutką na **toksyczne miazmaty „komuny"** i ekspresowo przekształcić świadomość społeczną na wzór (wydumany! zmitologizowany!)) burżuazyjnych społeczeństw Zachodu.

W kwestii własności aksjologiczna przewaga **własności prywatnej** jako najbardziej „godnej", „słusznej" i „naturalnej", zsakralizowanej („święte prawo własności"...), uzyskała najwyższą podstawę formalno-prawną w zapisie konstytucyjnym (Art. 20-22). Praktyczne tego skutki są widoczne np. w orzecznictwie sądów, gdzie własność inna niż prywatna – państwowa, społeczna, komunalna, grupowa-wspólna jest na gorszej pozycji. Intencją było wymierzenie historycznej sprawiedliwości komunie, deprecjonującej własność prywatną. Efektem stała się reguła, że wielka własność wygrywa z małą, prywatna z publiczną, komercyjna z użytkową/osobistą. Czyli rządzi **wielki biznes**, a korzyści płynące z tranformacji społeczno-ekonomicznej są prywatyzowane, zaś jej koszty – uspołecznione. Państwo i prawo jest silne wobec słabych, a słabe wobec silnych. W wymiarze praktycznym – wielki biznes wygrywa z władzą publiczną i podmiotami społecznymi nie tylko dzięki zapisom Konstytucji i ustaw. Wygrywa, bo stać go na najlepsze kancelarie prawne, lepsze niż radcy w urzędach albo działający *pro bono* adwokaci wspierający NGO-sy..

Lata 90-te to był czas wbijania do głów neoliberalnej aksjologii i filozofii społeczeństwa i gospodarki, opartej na wizji **brutalnego darwinizmu**, egoistycznej rywalizacji w dżungli o „sukces", pieniądze, pozycję... Gdzie wspólnota, współdziałanie, państwo i sfera publiczne są szkodliwe i powinny być ograniczane. Dość żenującym przykładem jest wieloletnia kampania mediów liberalnych, propagująca różne sposoby **obchodzenia systemu podatkowego**, która nasila się w okresie rozliczeń podatku dochodowego. Okazuje się, że dzisiaj młodzi buntownicy, poszukujący w nacjonalizmie pożywnej egzystencjalnie i emocjonalnie wspólnoty, wyznają społeczny darwinizm w wymiarze ekonomicznym, łącząc go ze wspólnotowością w wymiarze symbolicznym, nasyconym tradycjonalnymi treściami.

Finale

Nowe „My" wyrastające na takiej glebie warunków społeczno-ekonomicznych, w opozycji **do projektu emancypacyjnego lewicowo(?)-liberalnego, który okazał się wykluczający**, oznacza REGRES. Bo to „powrót" do archaicznych formuł istnienia zbiorowości – etnicznych, plemiennych, narodowych, rasowych, zwróconych przeciw innym, wspólnot agresji, odwetu i eksploatacji. Wydawało się, że bolesne lekcje historii ten etap skompromitowały. Wykluczeni na szeroką skalę przez neoliberalną gospodarkę i ekskluzywny projekt

Fot. Flickr.com by malias

emancypacyjny nie dążą jednak do zanegowania systemu i sposobu myślenia, który z zasady żeruje na słabszych. Wyzwolone demony przeszłości nie prowadzą do zniesienia wykluczenia i dyskryminacji, tylko do ich **radykalizacji przez wykluczenie Innych**. Według potrzeb i namiętności.

Wydaje się, że polska debata publiczna zatrzymała się gdzieś w XVII/XVIII wieku. Jej głównymi podmiotami są współczesne wcielenia sarmatów, a spór-walka toczy się pomiędzy **Sarmatami „progresywnymi"** próbującymi implementować „nowinki" z Zachodu, a **Sarmatami „tradycjonalistami",** broniącymi pod hasłami Bóg-honor-ojczyzna wzorów życia (wyobrażonego) z przeszłości. To jest prastary konflikt polski z bajek biskupa Krasickiego, komedii Fredry i „Pana Tadeusza", odgrywany ponownie i wciąż jak chocholi taniec. Mentalnie sprzed oświecenia... Jedni i drudzy wznoszą się wysoko nad ludem prostym, w którym nie widzą podmiotu praw, wolności i polityki. Jednak Sarmaci tradycjonalni jako dobrzy panowie rozdają szczodrze jałmużnę w naszym folwarku, czym zyskują wdzięczność i poparcie ludu prostego. Sarmaci progresywni, zgodnie ze swoimi wyobrażeniami o „postępie", tokują o dawaniu ludowi prostemu wędki zamiast ryby, kiedy sami uprawiają rybołówstwo za pomocą generatorów prądu dużej mocy. Toteż dostępnych ryb dawno już w stawach nie ma.

Nie udało nam się wykreować **projektu nowoczesnej, otwartej, nieekskluzywnej i prospektywnej wspólnoty ludzi równych**, ale różnych, a tym bardziej nie udało się do niego na szerszą skalę przekonać i wprowadzić w życie. Dlatego rozdziobią nas kruki, wrony.... Co też już było.

Fot. Piotr Drabik –Flickr.com

WRACAMY DO WSPÓLNEGO PASTWISKA

Fot. Flickr.com by Michael St. Jean

Izabela Zygmunt

Badania Elinor Ostrom, która w 2009 r. otrzymała ekonomiczną nagrodę Nobla za pracę na temat dóbr wspólnych, dowiodły, że oddolne wspólnotowe zarządzanie pastwiskiem, łowiskiem czy lasem może dawać lepsze efekty niż prywatyzacja tych zasobów bądź państwowa kontrola nad nimi. Co z tego wynika dla globalnych dóbr wspólnych takich jak klimat?

Kiedy w 2009 roku nagroda Nobla trafiła w ręce Elinor Ostrom, docenionej za pracę o dobrach wspólnych, polskie media nie poświęciły zbyt wiele uwagi ani samemu wydarzeniu, ani tematowi badań Olstrom. Podobny los spotkał zresztą w kolejnych latach innych laureatów, którzy otrzymali nagrodę za badania kwestionujące dogmaty neoliberalnej ekonomii, takich jak Angus Deaton, badający wzorce konsumpcji i ich związek z ubóstwem, czy Jean Tirole, autor badań wskazujących na konieczność regulowania rynków, zwłaszcza zdominowanych przez niewielką liczbę silnych graczy. Tymczasem wnioski zmarłej w 2012 r. Ostrom stają się coraz bardziej aktualne i ważne z każdą kolejną odsłoną polityczno-gospodarczego kryzysu, w jakim znalazł się świat.

Najważniejsza praca Ostrom nt. dóbr wspólnych to książka zatytułowana *Governing the Commons: The Evolution of Institutions for Collective Action*, wydana, co ciekawe, już w 1990 r., a więc na długo zanim zainteresowała się nią kapituła ekonomicznego Nobla, którego Ostrom otrzymała – co też nie jest bez znaczenia – w rok po wybuchu kryzysu finansowego, gdy cały świat ekonomii głowił się, czemu nikt nie przewidział kryzysu i gdzie tkwi błąd istniejącego systemu gospodarczego. Dziś, po upływie kolejnych kilku lat, wiemy na ten temat już całkiem sporo, a to co wiemy wskazuje wyraźnie, że koncepcja dóbr wspólnych może być jednym z kluczy do wyjścia z kryzysu (gospodarczego i ekologicznego) i stworzenia nowego, stabilnego systemu. Dlatego dziś bardziej niż kiedykolwiek warto pochylić się nad zagadnieniami, które badała profesor Ostrom.

Mówiąc najprościej, wkład Ostrom w rozwój myśli ekonomicznej polegał na dowiedzeniu, że – wbrew dominującemu wcześniej przeświadczeniu – wspólnotowe zarządzanie zasobami nie musi zawsze kończyć się „jazdą na gapę", nadmierną eksploatacją i zniszczeniem. Owo przeświadczenie o niemożliwości dobrego zarządzania dobrem wspólnym utrwalił w publicznej świadomości Garrett Hardin w swoim słynnym artykule pt. *Tragedia wspólnego pastwiska* (*Tragedy of the Commons*), opublikowanym w piśmie Science w 1968 r. Co ciekawe, Hardinowi, który nie był w ogóle ekonomistą tylko biologiem i obrońcą przyrody, chodziło przede wszystkim o wykazanie, że ludziom nie można pozwolić na nieograniczone rozmnażanie się, ponieważ zasoby środowiska są ograniczone, to zaś sprawia, że konieczna jest jakaś forma kontroli populacji. Hardin w swoim artykule przywoływał szereg przykładów dowodzących jego zdaniem, że jeśli jakiś zasób jest dobrem wspólnym, zawsze będzie nadmiernie eksploatowany i ostatecznie ulegnie zniszczeniu, ale wszystko to były tylko argumenty na poparcie jego tezy o konieczności ograniczenia ludziom swobody rozmnażania się.

Z dzisiejszej perspektywy te rozważania w kilku punktach wydają się kuriozalne, w kilku brzmią zadziwiająco aktualnie, ale najbardziej znamienne jest to, że o ile Hardin nie przekonał nikogo do wdrożenia przymusowej kontroli urodzin, to **z jego tekstu zapamiętano bardzo dobrze jedno: że dobra wspólne są nierealną utopią, a jedynym skutecznym sposobem zarządzania zasobami jest podział i prywatyzacja**. Był to pogląd zgodny z rodzącą się wówczas nową doktryną ekonomiczną, mówimy bowiem o początkach ery thatcheryzmu i reaganomiki. Nie był chyba jednak do końca zgodny z intencjami samego Hardina, któremu chodziło przede wszystkim o zapobieżenie nadmiernej eksploatacji przyrody, tyle że jedyny skuteczny sposób na to widział w ograniczeniu liczby eksploatujących, zdawał sobie bowiem sprawę, że nie da się rozparcelować i sprywatyzować oceanów i atmosfery, a obowiązująca koncepcja własności prywatnej wręcz zachęca do ich zanieczyszczania i niszczenia.

Jak to jednak często bywa, z jego rozważań wzięto i zapamiętano to, co było najbardziej przydatne z punktu widzenia aktualnej ideologii gospodarczej, czyli w tym przypadku przekonanie, że „dobra wspólne to jakaś tragedia" (chociaż Hardin w swoim artykule przedstawił również między innymi zarys zasady „zanieczyszczający płaci", który to pomysł, w przeciwieństwie do zakazu prokreacji, okazał się wykonalny i kilka lat później stał się jednym z filarów wspólnotowych przepisów dotyczących ochrony środowiska w Unii Europejskiej).

Jednak co by nie sądzić o pomysłach Hardina, jego artykuł zawierał autorskie przemyślenia niepoparte żadną rygorystyczną analizą danych. Ostrom często zżymała się na to w swoich wystąpieniach, zarzucając Hardinowi, że zajmował się „wyobrażonym" pastwiskiem zamiast przyjrzeć się pastwiskom realnie istniejącym. Ona sama zabrała się do pracy właśnie w ten sposób – zanim sformułowała hipotezę, zbadała dokładnie, jak funkcjonują dobra wspólne w realnym świecie. Przebadała bardzo wiele przypadków z różnych stron świata, dokładnie analizując liczby i statystyki. **Doprowadziło ją to do wniosku, że kolektywne, oddolne zarządzanie dobrem wspólnym, np. pastwiskiem, łowiskiem, systemem nawadniającym itp., oparte na samoorganizacji i samorządzie, może w wielu sytuacjach być lepsze i skuteczniejsze niż państwowa kontrola administracyjna bądź prywatyzacja**, a więc dwa rozwiązania, które, jak do tej pory sądzono, wyczerpują wachlarz sensownych możliwości w tym zakresie.

Skuteczne zarządzanie dobrami wspólnymi wymaga jednak spełnienia kilku warunków. Dobro wspólne musi mieć jasno wytyczone granice, reguły rządzące korzystaniem z niego muszą odpowiadać lokalnym uwarunkowaniom, wszystkie osoby korzystające z danego dobra muszą mieć zagwarantowany udział w procesie podejmowania dotyczących go decyzji, muszą istnieć skuteczne mechanizmy kontroli sprawowanej przez osoby korzystające z danego dobra, musi istnieć system stopniowych sankcji za naruszanie reguł, a także tani i łatwo dostępny mechanizm rozwiązywania konfliktów, i wreszcie prawo wspólnoty korzystającej z danego dobra do samodzielnego decydowania musi być respektowane przez władzę. W przypadku wspólnych zasobów o skali większej niż symboliczne „pastwisko", rozwiązaniem, które działa, jest zarządzanie nimi przez sieć mniejszych wspólnot odpowiedzialnych każda za swoją część danego zasobu.

Można zastanawiać się, dlaczego Bank Szwecji w momencie, gdy chwiał się cały światowy system finansowy, postanowił nagrodzić pracę, dla której punktem wyjścia była obserwacja pasterskich praktyk Masajów i płynące z niej wnioski dla pasterzy w innych częściach świata. W 2009 r. ekonomiści dopiero analizowali przyczyny kryzysu finansowego i poszukiwali dróg wyjścia z niego, trudno więc było nagrodzić kogokolwiek za badania w tej dziedzinie, ale raczej nie był to jedyny powód. **Ostrom wraz ze swoimi współpracownikami rozpoczęła prace nad stworzeniem szerszych teoretycznych ram dla optymalnego zarządzania tzw. systemami społeczno-ekologicznymi**. Wyszła poza obowiązującą przez kilka dekad logikę myślenia o korzystaniu z zasobów przyrody, zgodnie z którą istniały tylko dwa sposoby zarządzania nimi: kontrola państwowa i prywatyzacja (preferowana w neoliberalnej gospodarce), oraz pokazała, że oddolne zarządzanie wspólnotowe oparte na samoorganizacji czasem okazuje się lepszym rozwiązaniem. Jeśli weźmiemy pod uwagę głęboki kryzys, w jakim znalazły się dziś globalne dobra wspólne, takie jak oceany, lasy tropikalne, atmosfera czy klimat, zrozumiemy, jak ważny i potrzeby jest wytyczony przez Ostrom kierunek poszukiwań.

Dotychczasowy sposób zarządzania tymi dobrami okazał się porażką – po dwóch dekadach zabiegów o ochronę klimatu prowadzonych na szczeblu światowych przywódców politycznych znaleźliśmy się na skraju katastrofy ekologicznej, z coraz mniejszymi szansami na zahamowanie ocieplenia klimatu, wymierania oceanów i kurczenia się globalnego areału ziemi uprawnej. Dziś widać wyraźnie, że bez radykalnej zmiany logiki nie ruszymy z miejsca. „Rehabilitując" pojęcie dóbr wspólnych Ostrom pokazała, na czym mogłaby polegać ta nowa logika. Jej badania wykazały, że ludzkie wspólnoty potrafią korzystać z zasobów przyrody nie niszcząc ich, o ile mają rzeczywistą możliwość decydowania o nich w demokratyczny sposób i znają zakres swojej odpowiedzialności za nie.

Podobne myślenie prezentuje Naomi Klein w swojej najnowszej, wydanej też po polsku książce ***To zmienia wszystko. Kapitalizm kontra klimat***. Klein stwierdza tam wyraźnie, że na polityków nie ma co liczyć, bo przez ostatnie dwadzieścia lat dowiedli, iż mają inne priorytety. Ekosystem Ziemi może jej zdaniem uratować jedynie oddolny ruch społeczny złożony z lokalnych wspólnot broniących każda swojego kawałka Ziemi. Skoro światowi przywódcy nie są w stanie wynegocjować porozumienia, które naprawdę zahamowałoby wzrost emisji dwutlenku węgla, trzeba wziąć się za to oddolnie i lokalnie, organizując opór wobec budowy nowych kopalń odkrywkowych, elektrowni węglowych, rurociągów, odwiertów gazu łupkowego i wszelkich tego typu przedsięwzięć, które co prawda przybliżają nas do skraju przepaści, ale w krótkim okresie przynoszą biznesowy i polityczny zysk, więc dostają od polityków zielone światło.

Oczywiście wspólne pastwisko to zupełnie inna skala niż wspólna planeta, jednak największa trudność w zastosowaniu wniosków Ostrom do globalnych dóbr wspólnych nie polega na tym, że wspólnota, do której one należą, liczy nie kilkaset osób, a kilka miliardów, i są to ludzie z różnych kultur, mówiący różnymi językami i mieszkający w różnych państwach. W modelu opracowanym przez Ostrom jest na to rozwiązanie: polega ono na stworzeniu sieci współpracujących ze sobą mniejszych wspólnot i choć nie jest ono łatwe do wdrożenia, to nie jest też nierealne. Największym problemem jest jednak odzyskanie przez te wspólnoty rzeczywistej władzy decydowania o swoim „pastwisku", realnej możliwości zablokowania szkodliwych inwestycji, zakwestionowania błędnej polityki rozwojowej, przełamania wspólnego frontu polityków i biznesu. Nie da się tego zrobić bez politycznej walki, ale warto mieć świadomość, że każdy protest antyodkrywkowy, każdy sprzeciw przeciwko wycinaniu drzew, każda antyłupkowa blokada to nie tylko sprawa danej społeczności, ale element szerszego frontu w walce o dużo większą stawkę.

CZY WRACA KOMUNIZM?

Między teorią a praktyką dóbr wspólnych

Teorię dóbr wspólnych (the Commons) wprowadziła na ekonomiczne salony prof. Elinor Ostrom, laureatka Nagrody Nobla z ekonomii w 2009 roku. Teoria sformułowana przez Ostrom stanowi poszerzenie dotychczasowych koncepcji ekonomii klasycznej, postrzegających prywatyzację bądź upaństwowienie jako jedyne racjonalne strategie zarządzania dobrami wspólnymi, opisując możliwość zarządzania dobrami wspólnymi przez lokalne społeczności przy użyciu własnych rozwiązań instytucjonalnych. Kontynuatorka pracy badawczej Elinor Ostrom, profesor Tine De Moor z Uniwersytetu w Utrechcie była gościem Zielonego Letniego Uniwersytetu 2016, gdzie wygłosiła wykład nt. „Teoria dóbr wspólnych jako narzędzie zmiany".

Z profesor Tine De Moor rozmawia Ewa Sufin-Jacquemart

Ewa Sufin-Jacquemart: Czy mogła by Pani wyjaśnić, czym są dobra wspólne (*the commons*) w teorii naukowej?

Tine De Moor: Istnieje wiele terminów, które brzmią podobnie, ale nie koniecznie to samo znaczą. Gdy mówimy o dobrach wspólnych (*the commons*), mamy na myśli coś więcej niż dobra, które są we wspólnym posiadaniu. Dobra będące we wspólnym posiadaniu, które należą do rodzaju systemu określanego jako *commons*, podlegają innemu systemowi zarządzania, niż dobra, które należą do systemu zarządzania prywatnego lub rządowego. Ten stan różni się od powiązania z państwem albo rynkiem, jest gdzieś pomiędzy, gdyż mamy do czynienia z zarządzaniem bezpośrednio przez obywateli tworzących społeczność. Można wyszczególnić trzy wymiary w zakresie dóbr wspólnych związane ze sposobem zarządzania. Pierwszy wymiar to użytkownicy i producenci, tzw. prosumenci, czyli osoby, które mają prawa do tego co wytwarzają, ale też używają jako grupa. Jest to grupa jednostek, ale wewnątrz grupy podejmowane są kolektywnie decyzje odnośnie tego co może być wykorzystane indywidualnie, a co w grupie. Następny wymiar to zasoby, to znaczy zbiór zasobów, które znajdują się w posiadaniu społeczności. Może to być w zasadzie wszystko, ale głównie chodzi o takie zasoby, których dotyczą takie atrybuty jak „odejmowalność" (*substractibility*) i „wykluczalność" (*excludibility*).

ESJ: Na czym to polega?

TDM: Chodzi o takie zasoby, z dostępu do których trudno jest kogoś wykluczyć. Na przykład wieś posiada duże pastwiska albo nieużytki o dużej powierzchni, wokół których trudno jest postawić ogrodzenie i zakazać na nie wstępu. Oczywiście technicznie można to zrobić, jeśli zapłaci się za ogrodzenie i umieści wokół terenu strażników, ale organizacyjnie nie jest to proste. Więc trudno wykluczyć ludzi z dostępu do tych dóbr. Jednocześnie łatwo jest to dobro „odjąć", co oznacza, że gdy ktoś raz uczestniczy w dostępie do dobra, to już jego część ma: jeśli pozwolisz aby krowa pasła się na wspólnym pastwisku, trawa, która została przez nią zjedzona nie wróci na pastwisko w ciągu najbliższych tygodni, została niejako „odjęta" od wspólnego zasobu. Istnieją zasoby, które mogą być regenerowane, ale też i takie, które gdy są raz wykorzystane, nie mogą być dalej „odejmowane". Cała społeczność traci wówczas ważny dla niej zasób.

ESJ: Jak zapobiegać takim sytuacjom?

TDM: Aby zagwarantować, że zasoby nie będą nadużywane przez użytkowników, potrzebne jest jakieś instytucjonalne rozwiązanie obejmujące zestaw konkretnych reguł, norm i wartości, ustanowionych jako narzędzia do zarządzania przez społeczność, aby mieć pewność, że użytkownicy rozwiążą to co się nazywa „dylematem społecznym" (*social dilemma*).

ESJ: To znaczy?

TDM: Ten dylemat społeczny jest centralny dla dóbr wspólnych. Oznacza, że jednostki mogą mieć pewne korzyści krótkofalowe, ale spowoduje to konflikt wokół długofalowych korzyści zbiorowych. W ramach dóbr wspólnych rozwiązuje się to poprzez samo-zarządzanie, gdzie zwykli ludzie (*commoners*) decydują wewnątrz grupy, w jaki sposób zasoby mogą być wykorzystywane i jakie reguły są najlepiej dostosowane do sytuacji. Jeśli społeczność ma zbiorowe pastwisko, wyznacza się wspólnie regułę ile krów każda osoba może na nim umieścić. Przy czym reguły zmieniają się w czasie, gdyż zasoby mogą się zmienić i okoliczności mogą ulec zmianie. System zarządzania dóbr wspólnych jest dynamiczny, dostosowuje się do zmieniających się okoliczności. Oczywiście może być także zlikwidowany odgórnie, albo upaść, gdy ludzie nie znajdą odpowiednich zasad i norm, ale może być również utrzymywany przez wieki. Tak więc jako system zarządzania może to działać, ale musi być uznane przez rządy jako uzasadniony sposób organizacji.

ESJ: Czy może pani podać jakieś przykłady współczesnych systemów dóbr wspólnych?

TDM: W Holandii gdzie pracuję, a także w Belgii, gdzie mieszkam, pojawia się dziś wiele nowych przykładów, ale też w innych krajach, na przykład we Włoszech. Nie wiem dokładnie, co się dzieje w Polsce, ale zapewne w Polsce również są przykłady inicjatyw, w których obywatele tworzą razem pewne dobra wspólne dla danej grupy. Trzeba być członkiem danej grupy, aby następnie można było być użytkownikiem danych dóbr czy zasobów. Dla przykładu w Holandii, mniej więcej od 2005 roku, obserwujemy ogromny rozwój spółdzielni

opieki. Ludzie zareagowali przeciwko całkowitej prywatyzacji systemu opieki i zaczęli tworzyć własne mechanizmy opieki, własne spółdzielnie, aby zapewnić opiekę osobom starszym. Szczególnie na wsiach, gdzie w przeciwnym razie ludzie musieliby opuścić swoje wsie, aby przenieść się do prywatnych domów opieki dla osób starszych. Widzimy również, w Niemczech czy w Holandii, wiele spółdzielni energetycznych, w których obywatele starają się produkować własną energię z ogniw słonecznych czy wiatraków, aby zapewnić sobie autonomię w zakresie produkcji i zużycia energii. W Niemczech jest kilka miejscowości, które są całkowicie niezależne od sieci regionalnej czy krajowej, gdyż stworzyli własną sieć lokalną i narzędzia dla zapewnienia dostępu do energii członkom społeczności lokalnej. Spotykamy też inicjatywy, które godzą ze sobą różne cele – np. zapewniają swoim członkom zarówno dostęp do energii jak i opiekę. Wprowadzenie systemu współzarządzania ułatwia dodawanie w razie potrzeby nowych celów. Są również przykłady supermarketów i kooperatyw spożywczych, głównie na wsiach. Spółdzielnie i kooperatywy stanowią swego rodzaju ramy prawne dla dóbr wspólnych, lecz te ramy różnią się w poszczególnych krajach. Nie wiem niestety jak sytuacja wygląda w Polsce.

ESJ: W Polsce mieliśmy długą tradycję spółdzielczości, ale spółdzielnie w dużej części zniknęły wraz z upadkiem poprzedniego systemu, gdy wyrzuciliśmy do śmietnika wszystko, co zbiorowe. Społeczeństwo stało się od tego czasu zdecydowanie indywidualistyczne. Dziś musimy więc odbudowywać pojęcie zbiorowości, które nie byłoby związane z komunizmem. Jaka jest różnica między dobrami wspólnymi a komunizmem?

TDM: Istnieje ogromna różnica, w zasadzie te dwa pojęcia nie mają ze sobą nic wspólnego. Komunizm jest układem *top-down* (z góry do dołu), z bardzo małym udziałem samorządności. Ludzie nie decydują o tym „jak gospodarstwo działa". Natomiast w ramach dóbr wspólnych próbują samorządności i zbiorowego podejmowania decyzji, w całkiem inny sposób niż w systemie komunistycznym. Te dwa systemy wychodzą z zasadniczo różnych perspektyw: komunizm to system *top-down* (z góry do dołu), dobra wspólne to system *bottom-up* (od dołu do góry), często również w przy współpracy z lokalnym samorządem, ale w większości przypadków są to naprawdę inicjatywy podejmowane przez samych obywateli. Tak więc dobra wspólne i komunizm to dwie zupełnie różne koncepcje, które nie mają ze sobą nic wspólnego.

ESJ: Jaka jest pani obserwacja, czy kobiety nie są bardziej dostosowane lub bardziej aktywne w promowaniu tego kierunku? Czy dobra wspólne nie są bardziej „kobiece"?

TDM: Nie, nie powiedziałbym. Organizujemy wiele zajęć dla lokalnych spółdzielni i kooperatyw, mój zespół badawczy organizuje wiele spotkań, na przykład mamy siedem razy do roku spotkania wokół tematu działań zbiorowych w zakresie opieki w Holandii. Zdecydowanie nie ma tam większości kobiet, jest to mieszanina różnych ludzi. Obserwujemy na przykład, że wiele z pionierskich inicjatyw tworzą ludzie, którzy mają doświadczenie w biznesie. Jako że przedsiębiorczość jest nadal zdominowana przez mężczyzn, więc i szansa, że inicjatywa z zakresu dóbr wspólnych będzie rozwijana przez mężczyznę jest raczej wyższa. Pionierstwo wymaga zazwyczaj odwagi i przedsiębiorczości, a w większych firmach przedsiębiorcami są nadal w większości mężczyźni.

ESJ: Ale dobra wspólne potrzebują również zdolności myślenia długofalowego ...

TDM: Tak, to jest cała sprawa, tu właśnie leży „dylemat społeczny" do rozwiązania. Uczestnictwo członków społeczności w procesie decyzyjnym ma zagwarantować wprowadzenie i egzekwowanie takich reguł i zasad, które będą służyły długofalowemu interesowi całej społeczności. Dlatego gdy mówimy o ekonomii dóbr wspólnych, *the commons*, nie mamy na myśli jakiejkolwiek zbiorowej inicjatywy ze strony społeczności. Bo *commons* to przede wszystkim sposób zarządzania. No i zasada wzajemności: każdy coś oferuje społeczności i w zamian coś otrzymuje. Tu nie chodzi ani o kolaboratywną konsumpcję, ani o kolaboratywną produkcję, i jedno, i drugie nie wystarcza, aby inicjatywę zaklasyfikować do kategorii dóbr wspólnych. Na przykład Uber należy do tzw. *sharing economy*, ale nie jest systemem dóbr wspólnych.

ESJ: Czy rozwój ekonomii dóbr wspólnych jest pani zdaniem lekarstwem na patologie dzisiejszego globalnego neoliberalnego świata?

TDM: I tak, i nie. Co prawda wciąż wierzę, że jest to niezwykle potrzebny kierunek, dający ludziom narzędzia dla zrównoważonego rozwoju, dlatego wciąż z pasją zajmuję się tą dziedziną. Ale czasem obawiam się, że sama ekonomia dóbr wspólnych może nie wystarczyć, aby oprzeć się presji międzynarodowych korporacji. Chociaż lokalnie może się to udać, więc warto opisywać inicjatywy, które odniosły sukces. Zapraszam polskich badaczy, samorządowców i aktywistów w lipcu 2017 roku do Utrechtu na dużą konferencję międzynarodową, którą organizujemy. Będzie na niej prezentowanych wiele bardzo interesujących inicjatyw lokalnych, które możemy uznać za inicjatywy z zakresu dóbr wspólnych, *the commons*.

ESJ: W takim razie życzę powodzenia. Postaram się być na konferencji i zdać z niej relację czytelnikom Zielonych Wiadomości. Bardzo dziękuję za rozmowę.

Prof. Tine De Moor wykłada „Instytucje zbiorowego działania w perspektywie historycznej" w Departamencie historii społecznej i ekonomicznej Uniwersytetu w Utrechcie. Reprezentuje interdyscyplinarne podejście do badań nad długoterminową ewolucją wiejskich Commons. Jej badania zostały opublikowane w wielu książkach i czasopismach. Jest także (współ) założycielką czasopisma International Journal of Commons, a od stycznia 2015 roku prezesem Rady Wykonawczej Międzynarodowego Stowarzyszenia Badań nad Commons. W marcu 2014 roku prof. Tine De Moor została przyjęta na członka Akademii Królewskiej Holenderskiej Akademii Sztuk i Nauk (KNAW).

POSTWZROST W EUROPIE

CZY NASZE PODEJŚCIE DO PLANETY MA SZANSE SIĘ ZMIENIĆ?

Z Anne Snick rozmawiają – Joanna Lebiedzińska i Robert Reisigová-Kielawski

Joanna Lebiedzińska: Jak najlepiej wytłumaczyć, co to jest postwzrost? Szczególnie ludziom, którzy ciągle uważają, że konkurencja to podstawowy mechanizm porządkujący życie publiczne. Muszą przecież walczyć o pieniądze, pracę, status…

Anne Snick: Zaczęłabym od przypomnienia faktu, że nasza planeta nie rośnie. Tworzy raczej układ zamknięty – jak w pierwszej zasadzie termodynamiki. A jednak stworzyliśmy model ekonomiczny całkowicie zależny od wzrostu, który nie współgra z rzeczywistością planety. Ten prosty fakt leży u podstaw kolejnych kryzysów, konfliktów, degradacji środowiska, czy migracji.

Rozwiązanie tych problemów wymaga modelu ekonomicznego, którego celem jest mądre zarządzanie zasobami mające na celu zapewnienie dobrobytu wszystkim żywym istotom. Chodzi o to, by wzrost dobrobytu nie był zależny od wzrostu produkcji i konsumpcji dóbr. To właśnie podstawowe założenia postwzrostu, na których powinniśmy budować ekonomię.

Robert Reisigová-Kielawski: A jak rozprawisz się z poglądem podważającym to, że nasza planeta i działalność ludzka to układ zamknięty? Ciągle pokutuje przeświadczenie, że rozwój technologii może nas zbawić i niejako otworzyć ten układ – wzrost postrzegany jest jako właśnie przekraczanie naszych możliwości.

AS: Załóżmy, że zaprojektujesz świetne urządzenie do zarządzania systemem wspólnego użytkowania samochodów (*car sharing*). W obecnym modelu jest tak, że aby przetrwać, twoja firma musi rosnąć, czyli zwiększać sprzedaż i pewnie zużywać więcej zasobów. Ale ten cel – wzrost – nijak się ma do systemu wspólnego korzystania z samochodów, którego celem jest zapewnienie mobilności jak największej liczbie osób, zużywając przy tym jak najmniej zasobów.

Wzrost może być oczywiście wyłącznie finansowy, ale wtedy mamy do czynienia ze spekulacjami. Kolejne bańki na rynkach nieruchomości skutecznie nam o tym przypominają. Spekulacje mogą dać wzrost finansowy, ale nie mają nic wspólnego z ekonomią rozumianą jako mądre i sprawiedliwe zarządzanie zasobami, którego celem jest dobrobyt wszystkich istot, nawet pszczół. A taką funkcję powinna mieć ekonomia w świecie postwzrostu.

Obecny system oparty jest na wydobyciu zasobów. Rozwój technologiczny niczego nie zmieni, ponieważ działamy w systemie planowanego niedoboru pieniądza, którego celem jest „robienie pieniędzy", czyli zysk – wspólny mianownik kolejnych kryzysów, konfliktów i nierówności. Mamy politykę monetarną, która nie służy społecznym funkcjom ekonomii. Służy bankom, ale ludzie i planeta mają jej wyraźnie dość.

JL: Jeśli nie rozwój technologii, to może zrównoważony rozwój? Przyłączasz się do głosów, że zrównoważony rozwój to wyświechtane hasło marketingowe – jak społeczna odpowiedzialność biznesu? Czym różni się postwzrost od zrównoważonego rozwoju?

AS: Na pewno „zrównoważona" polityka nie powinna być dzisiaj celem samym w sobie. Celem jest przetrwanie ludzkości i ekosystemów Ziemi oraz zaprojektowanie takiego modelu ekonomicznego, który nie będzie służył garstce wybranych kosztem pozostałych. Dzisiaj każda branża przemysłu konkuruje, walczy o przetrwanie i zasoby. Polityka zrównoważonego rozwoju zakłada, że ekstraktywizm – czyli eksploatację ludzi i planety w celu zanotowania wzrostu – należy zreformować tak, by praca i kapitał służył ludziom, zwierzętom i całej planecie, co pomoże stworzyć zielone produkty i miejsca pracy, poprawi sprawiedliwość społeczną i dobrobyt. Jeśli przyjmiemy taką definicję, to naturalnie zrównoważony rozwój częściowo pokrywa się z założeniami postwzrostu, ale trzeba pamiętać, że wzrost na planecie, która nie rośnie z definicji będzie oparty na eksploatacji i ekstraktywizmie.

Przyłączam się jednak do głosów, że zrównoważony wzrost nie wystarczy, ponieważ nie kwestionuje obecnej polityki monetarnej, nie wyciąga wniosków z systemowych błędów, opisanych choćby przez Thomasa Piketty'ego w *Kapitale w XXI wieku*: koncentracja kapitału pogłębia nierówności. Eksploatacja Globalnego Południa trwa w najlepsze. Biedni zmuszeni są do migracji. Z kolei Richard Wilkinson i Kate Pickett w *Duchu równości* dowodzą, że nierówności szkodzą wszystkim, nie tylko biednym. Społeczeństwo amerykańskie jest bogatsze od japońskiego, ale bardziej nierówne i to właśnie ci drudzy żyją szczęśliwiej. Dzisiaj zrównoważony rozwój to za mało, by walczyć z nierównościami.

JL: Jeśli wzrost jest paliwem kryzysów, wojen, migracji i nierówności, to w jaki sposób postwzrost może pomóc uniknąć ich w przyszłości?

AS: Niedobór pieniądza jest ważną przyczyną nierówności. Jeśli stworzymy system, w którym pieniędzy nie brakuje, zysk jako cel sam w sobie zostanie zastąpiony przez równość i dobrobyt. Zresztą ludzie dobrze to wiedzą i już teraz tworzą własne systemy wymiany, niezależne od banków. W paradygmacie postwzrostu wzrost nie oznacza wzrostu zysków, które dzielą społeczeństwa, czy rozbudowy infrastruktury, która przyspiesza zmiany klimatu. Jeśli celem ekonomii będzie więcej dobrobytu i mniej nierówności, i jeśli tak zdefiniujemy wzrost, to osiągnięcie go może zakładać spadek tradycyjnie rozumianego wzrostu. Postwzrost oznacza więc rozwój bardziej dostępnej i włączającej infrastruktury opartej na odnawialnych źródłach energii. W pewnym sensie dzisiaj mamy już fragmenty takiej infrastruktury. Tworzą ją praca u podstaw i oddolne inicjatywy społeczne – często wbrew dogmatom wolnorynkowym.

Warto dodać, że wiele pracy wykonywanej jest poza ekonomią, choć bez niej nie byłoby „wolnego rynku". Przede wszystkim chodzi o pracę opiekuńczą i pracę społeczną. W kategoriach postwzrostu taka praca jest fundamentalna, ponieważ jej celem jest właśnie zdrowie, dobrobyt, solidarność czy więzy społeczne. Dotychczasowe modele ekonomiczne wykluczały to, co niektórzy nazywają „wartościami kobiecymi", były patriarchalne, ceniły konkurencję i hierarchiczność. Modele, które cenią współpracę wymagają innej filozofii zarządzania – opartej na zaufaniu. Zamiast odgórnej hierarchiczności, potrzebujemy modeli wrażliwych na inicjatywy oddolne.

> „Wychowujemy kolejne pokolenia w duchu rywalizacji i indywidualizmu ponieważ obecna polityka ekonomiczna takie wartości premiuje. Ostatni kryzys ekonomiczny jest tego przykładem.

Weźmy wspomniany *car sharing*. Jestem członkinią takiego systemu i uczestniczę w procesach zarządzania. Na pewnym etapie nasz *car sharing* stał się nie tylko korzystny dla nas samych, czyli poszczególnych „klientów", ale lokalni politycy powoli zaczęli dostrzegać, że takie rozwiązania poprawiają jakość życia wszystkich mieszkańców. Zaczęli więc wspierać takie inicjatywy. W Gandawie za darmo zaparkujesz tylko samochodem należącym do systemu wspólnego użytkowania. To pokazuje powolne zmiany w systemie zarządzania: oddolnie idzie sygnał, że chcemy taki system, a odgórnie mamy rozwiązanie, które pozwala mu się rozwijać. Inicjatywy społeczne muszą być rozpoznawane, wspierane i popularyzowane. Liczne przykłady takich inicjatyw znajdziemy we francuskim dokumencie *Nasze jutro*.

JL: Sugerujesz, że ekonomia wzrostu gospodarczego zaniża wartość pracy opiekuńczej, którą wykonują głównie kobiety, a jednocześnie umacnia wiarę w większą „wydajność" mężczyzn i tym samym utrwala nierówności między płciami. Jakie rozwiązania tej kwestii podsuwa postwzrost?

AS: Powtórzę. Obecny system wymusza wzrost gospodarczy i wzrost wydajności pracy. Jednak rozumienie „wydajności" jest związane z kulturą, rolami społecznymi i przyjętą polityką monetarną. Ponieważ mężczyźni nie rodzą dzieci, mogą być w pracy zamiast na sali porodowej i w mniejszym stopniu zajmują się domem i dziećmi, są bardziej „wydajni" w systemie, który zaniża wartość pracy opiekuńczej. Ciąża i opieka nad dziećmi są niestety wykluczające dla kobiet, ponieważ nie uznaje się wpływu takiej pracy na indywidualny zysk. Historia feminizmu pokazuje, że wywalczenie prawa do udziału w patriarchalnym społeczeństwie przez uprzywilejowane kobiety oznaczało, że w pracy opiekuńczej musiały je zastąpić kobiety z najniższych klas, czarne kobiety oraz migrantki.

Tradycyjnie rozumiany wzrost wymusza konkurencję i walkę o zasoby, bo przetrwanie zależy od możliwości ich eksploatacji. Nie każda działalność może się rozwijać, może generować zysk, ponieważ planeta jest układem zamkniętym. Wychowujemy kolejne pokolenia w duchu rywalizacji i indywidualizmu, ponieważ obecna polityka ekonomiczna takie wartości premiuje. Ostatni kryzys ekonomiczny jest tego przykładem. Instytucje finansowe prowadzą śmiertelnie niebezpieczną grę w pogoni za zyskiem, a rządy wyciągają je z tarapatów za pieniądze podatników. Mamy więc przyzwolenie na żyłkę do hazardu, co ma fatalne skutki dla społeczeństwa.

Nieprzypadkowo kobiety zarabiają mniej i częściej zmagają się z ubóstwem. Postwzrost przeciwstawia się takim niesprawiedliwościom, logice zysku i wyniszczającemu ekstraktywizmowi. Jego celem jest przeprojektowanie ekonomii tak, by jej celem było zmniejszanie nierówności. Nierówności niszczą, na różnych poziomach. Dzisiaj bogate kraje Europy mogą kupić sobie prawa do połowu w biednych krajach Globalnego Południa i zniszczyć lokalne rynki oraz społeczności, jak w Senegalu.

RRK: Jaki powinien być kolejny krok w stronę postwzrostu? Jak edukować i lobbować za postrozwojem, aby wyjść poza paradygmat zrównoważonego rozwoju?

AS: Odpowiedzi na te pytania już teraz szuka wiele osób i instytucji – od lokalnych polityków, przez ruchy społeczne, po firmy. To żywe laboratoria, na które warto zwrócić uwagę, aby zrozumieć zmiany w myśleniu o funkcjach ekonomii. Niestety nie widzę żadnego ogólnoświatowego planu. Idee postwzrostu znajdują odbicie w działaniach lokalnych, bo tam pojawia się zrozumienie dla dobrobytu wspólnoty, tam pojawia się zaufanie. Jeśli chcemy zmiany w skali makro, to musimy przyglądać się zmianom w skali mikro i wspierać wszelkie działania mające na celu sprawiedliwą alokację zasobów. Niestety na poziomie samorządów i państw sprawa się komplikuje, są ogromne opory. Obawiam się, że bez jakiegoś gwałtownego zwrotu wkrótce może być za późno, by zatrzymać zmiany klimatu na poziomie, który zapewni godne warunki życia nie tylko kilku bogaczom. Obowiązująca dogma ekonomistów prowadzi nasz tankowiec prosto na górę lodową. Wpływ ideologów i interesantów wzrostu jest tak potężny, że nie ma szans, byśmy zmienili kurs jakąś odgórną decyzją. Chodzi raczej o to, by wszyscy aktorzy zainteresowani przywróceniem ekonomii jej podstawowych funkcji połączyli siły i naciskali na klasę polityczną. Im więcej osób dowie się, że ciągły wzrost sprowadzi na nas katastrofę, tym większe szanse na to, że alternatywne rozwiązania takie jak postwzrost będą brane pod uwagę. Postwzrost może oznaczać zmniejszenie produkcji – na przykład samochodów, których mogłoby być mniej, jeśli sprawnie działałyby systemy wspólnego użytkowania. Chodzi tu przede wszystkim o funkcję (równy dostęp do środków transportu i mobilność), którą odpowiedni model ekonomiczny powinien zapewnić.

Transformacja w kierunku ekonomii postwzrostu wymaga społecznej innowacyjności, czyli takiej organizacji lokalnych społeczności, która zapewni dobrobyt wszystkim jej członkom i członkiniom. Wymaga również wspierania takiego rozwoju technologicznego i naukowego, który pozwoliłby lepiej zarządzać dostępnymi zasobami. Oczywiście kolejnym wymogiem jest odpowiednia polityka monetarna, której celem byłoby zapewnienie równego i bezpiecznego przepływu kapitału. Wreszcie taka transformacja wymaga zmian w prawie, co pozwoliłoby utrwalić model postwzrostu.

Bez zmiany we wszystkich opisanych obszarach – nie może być mowy o świecie postwzrostu. Sama technologia nas nie zbawi i nie chodzi tylko o prawo patentowe. Ekonomia i polityka są nierozerwalnie połączone w zglobalizowanym świecie. Świadomość kresu obecnego modelu nie ogranicza się wyłącznie do elity w krajach bogatej Północy. Alternatywne modele ekonomiczne pojawiają się w Afryce i na Bliskim Wschodzie. Powodem są wyniszczające skutki nierówności. Pojawienie się oporu wobec ideologii wzrostu w różnych zakątkach świata daje nadzieję na nowe sojusze i możliwości wywierania wpływu na polityków. Już dzisiaj wiemy, że bieda, głód, zmiany klimatu mają i będą miały katastrofalne skutki. Mam tylko nadzieję, że idee postwzrostu w porę złagodzą je i poprawią życie przyszłych pokoleń. Przecież ekonomia i polityka są właśnie od tego!

Przełożył Robert Reisigová-Kielawski

Dr Anne Snick – doktorat z filozofii edukacji. Prowadzi badania naukowe (KU Leuven), pracuje z rodzinami cierpiącymi ubóstwo (Uniwersytet Centrum Kortenberga) i badania-działania (action research) wprowadzające nowe modele ekonomiczne (Flora Network). Zainteresowania badawcze: systemowa analiza ubóstwa, nierówności (gender) i katastrofy ekologiczne, współtworzenie alternatywnych modeli społeczno-gospodarczych. Stworzyła ramy metodologiczne dla ułatwiania transdyscyplinarnych inicjatyw na rzecz zrównoważonego zarządzania. Od 2012 roku jest członkinią zarządu Klubu Rzymskiego – rozdziału UE.

DOBRA WSPÓLNE

jako radykalny projekt demokratyczny

Danijela Dolenec

W wydanej w 2012 roku książce pod redakcją Davida Bolliera i Silke Helfrich (*The Wealth of the Commons*), autorzy piszą, że dobra wspólne można postrzegać jako ramy intelektualne, filozofię polityczną, zestaw postaw i zobowiązań społecznych, eksperymentalny sposób bycia w świecie, tendencję religijną, całościowy światopogląd, język, który pomaga nam przekroczyć ślepą uliczkę rynkowego fundamentalizmu; innymi słowy koncepcję dóbr wspólnych można zinterpretować na wiele sposobów.

Należy docenić fakt, że koncepcja dóbr wspólnych zainspirowała tak wiele kierunków myślenia, jednak jeśli jesteśmy zainteresowani pobudzeniem zmiany społecznej, naszym celem powinno być zidentyfikowanie spośród nich zestawu zasad, które mają potencjał transformacyjny. Moim zamiarem jest przedstawienie możliwości koncepcji dóbr wspólnych jako projektu politycznego. W części pierwszej opieram się na pracy Elinor Ostrom, aby poszukać podstawowych zasad dóbr wspólnych jako zamysłu politycznego. W części drugiej zastanawiam się nad tym, co uważam za problematyczne we współczesnej literaturze na temat dóbr wspólnych, zaś w trzeciej przedstawiam argumenty na rzecz jednego sposobu, w jaki dobra wspólne mogłyby stać się podstawą radykalnego programu demokratycznego.

Dziedzictwo Elinor Ostrom

Na początku chciałabym powiedzieć o genezie mojego stanowiska w debacie o dobrach wspólnych. Studiuję pracę Elinor Ostrom (*Governing the Commons*, 1990) od kilku lat, i zauważyłam, że zawarty w niej przekaz nabrał ostatnio o wiele większego i szerszego znaczenia, niż autorka mogłaby kiedykolwiek przewidzieć. Moim zdaniem kilka aspektów jej dzieła ma duże znaczenie dla rozwoju paradygmatu dóbr wspólnych jako projektu politycznego.

Pierwszym z nich jest jej koncepcja istoty ludzkiej jako „lepszej niż racjonalna" . Pogląd ten nie odrzuca tezy, że jesteśmy istotami racjonalnymi, które dążą do uzyskania pewnej kontroli nad swoim życiem. Jednakże zaprzecza pesymistycznemu założeniu teorii racjonalnego aktora, według której wszystkie nasze wybory w życiu sprowadzają się do racjonalnej kalkulacji kosztów i zysków. Mówi on, że nie jesteśmy „tylko racjonalni", że nasze działania i wybory są głęboko zakorzenione w normach i relacjach społecznych. Daje wizję ludzi jako istot zasadniczo społecznych: komunikujących się i współpracujących ze sobą nawzajem, i godnych zaufania. W przeciwieństwie do perspektywy ekonomii neoklasycznej, która zaczyna się od założenia, że kolektywne działania nie dojdą do skutku lub skazane są na porażkę na skutek jakiegoś rodzaju tragedii dóbr wspólnych, konsekwencją empirycznej i teoretycznej pracy Ostrom jest przekonanie, że ludzie są z natury aktorami społecznymi. Żyjemy w sieci relacji społecznych nasyconych normami i wartościami; jesteśmy z natury skłonni do współpracy i w rezultacie wspólne działanie jest możliwe i może prowadzić do zrównoważonych i sprawiedliwych praktyk zarządzania. Bez takiego poglądu na rodzaj ludzki, próby teoretyzowania na temat emancypacyjnej zmiany społecznej nie miałyby sensu.

To jest pierwsza lekcja z pracy Ostrom. Druga odnosi się do zasad tworzenia struktur instytucjonalnych, a trzecia relacji pomiędzy dobrami wspólnymi a dychotomią rynki/państwa.

Jeśli chodzi o zasady tworzenia struktur instytucjonalnych, Ostrom ostrzega nas, że nie jest łatwo zaprojektować instytucje (instytucje oznaczają tutaj po prostu kolektywne działania), które byłyby zarządzane w sposób zrównoważony. Jest to prawdą niezależnie od tego, czy próbujemy zarządzać zasobami naturalnymi, czy też utrzymać państwo opiekuńcze. Dowodem na to są rażące nierówności społeczne i ekonomiczne we współczesnych społeczeństwach, jak również gwałtowna, i jak się wydaje niemożliwa do powstrzymania degradacja naszego naturalnego siedliska. Praca Ostrom pokazuje, że wspólne działanie, którego konsekwencją będzie zrównoważony i sprawiedliwy system zarządzania, musi być głęboko demokratyczne, oparte na samoorganizacji i zasadzie subsydiarności.

Bez względu na to, czy chodzi o organizację procesu produkcyjnego w fabryce czy też stworzenie mechanizmów partycypacji obywateli w podejmowaniu decyzji w lokalnej społeczności – podstawową zasadą dotyczącą projektowania obowiązujących reguł kolektywnego działania powinno być wspólne podejmowanie decyzji. Demokracja jest tutaj zarówno metodą: zasadą proceduralną, która sprawia, że instytucje mają legitymizację, jak i celem: wskutek czego powinny działać w interesie ludzi.

Trzecia konkluzja z pracy Ostrom odnosi się do zastosowania pojęcia dóbr wspólnych do krytyki klasycznej dychotomii między państwami a rynkami. Ostrom uważa, że zarówno regulacje państwowe, jak i regulacje poprzez prawa własności prywatnej, są rozwiązaniami instytucjonalnymi narzucanymi społecznościom w procesie odgórnym. Opowiada się przeciwko scentralizowanemu lewiatanowi, jako dobremu sposobowi administrowania zasobami naturalnymi, lecz także przeciwko prywatyzacji wspólnych zasobów, takich jak lasy czy łowiska. Jako alternatywę podaje przykłady kolektywnych działań, podczas których społeczności zorganizowały się same w zrównoważone, funkcjonujące na zasadzie samozarządzania kooperatywy. Ostrom nie sugeruje, że powinniśmy obalić kapitalizm albo stopniowo zlikwidować władzę państwową; opowiada się za zasadami zarządzania opartego na koncepcji dóbr wspólnych jako ich uzupełnieniem. Twierdzi, że w niektórych sytuacjach najlepszym sposobem zarządzania zasobami są samoorganizacja i wspólne prawa własności. Jeśli chodzi o rolę państwa, jej zdaniem powinno ono stwarzać odpowiednie warunki do rozkwitu różnorodnych form samoorganizacji i samozarządzania w społecznościach.

Fot. Flickr.com by Daniel X. O'Neil

Podczas gdy dwie pierwsze zasady ludzkiej współpracy i demokracji są, zarówno jako metoda, jak i cel, kluczowymi elementami dóbr wspólnych jako radykalnego projektu demokratycznego, implikacja pracy Ostrom w odniesieniu do krytyki roli państwa i rynków, jest nieco bardziej skomplikowana, i zasługuje na dalsze omówienie, ponieważ niektóre z jej nieodłącznych napięć są ciągle powielane we współczesnym dyskursie o dobrach wspólnych.

Ograniczenia i potencjał teorii dóbr wspólnych

Współczesny dyskurs o dobrach wspólnych opiera się na zasadach, które opisałam powyżej. W rezultacie, moim zdaniem najważniejszymi mocnymi stronami obecnego ruchu na rzecz dóbr wspólnych są:

1. wspieranie demokratycznych zasad horyzontalnej autonomii społeczności lokalnych na poziomie samorządów lokalnych i partycypacyjny sposób tworzenia regulacji prawnych;
2. podkreślanie naturalnej skłonności ludzi do wzajemnej współpracy, jak również filozofia społeczeństwa opartego na potrzebach, w przeciwieństwie do polegającego na korzyściach;
3. krytyka kapitalizmu i państwa.

Bazując na tych regułach, literatura o dobrach wspólnych przeanalizowała i opisała procesy prywatyzacji i wywłaszczenia, pokazując w jaki sposób wspólne zasoby lub dobra publiczne podlegają utowarowieniu, podczas gdy państwo zajmuje się niechcianymi kosztami zewnętrznymi w formie przypominającej opiekę palliatywną. Ruchy społeczne uznały te zjawiska za niesprawiedliwe przywłaszczanie i zyskały dużą siłę polityczną i intelektualną sprzeciwiając się im. Byliśmy świadkami powstania odnoszących sukcesy ruchów na rzecz dóbr wspólnych: we Włoszech (referendum w sprawie wody), Urugwaju (referendum przeciwko prywatyzacji w wody w 2004 roku), i lokalnie w Chorwacji (inicjatywy Prawo do Miasta), Niezależnej Inicjatywy Studentów, a także ruchów sprzeciwiających się prywatyzacji zasobów naturalnych.

Jakkolwiek koncepcji dóbr wspólnych używa się z powodzeniem przede wszystkim do krytycznej analizy rynku i niepowodzeń demokracji reprezentatywnej, właśnie ten element dyskursu o dobrach wspólnych jest dla mnie najbardziej problematyczny. Powiedziałabym, że podczas gdy zasada demokratycznego podejmowania decyzji i koncepcja ludzi, jako istot społecznych i z natury skłonnych do współpracy są mocnymi punktami dyskursu dóbr wspólnych, krytyka relacji pomiędzy rynkiem a państwem jest niekompletna. Po pierwsze duża jej część jest mglista w określeniu kierunku, w którym należy szukać rozwiązania. Nie jestem tutaj pewna, czy jest to celowa strategia. Czy ta mglistość jest próbą oddalenia się od „przeidealizowanej" koncepcji socjalizmu, samozarządzania (w stylu jugosłowiańskim), a wreszcie, będącego tematem tabu, bliskiego im: komunizmu?

Jednak problem nie dotyczy przede wszystkim nazewnictwa. W literaturze często nie jest jasne, czy zamierzamy porzucić kapitalizm, czy też po prostu uzupełnić go praktykami dóbr wspólnych. Wiele inicjatyw podejmowanych przez ruchy na rzecz dóbr wspólnych, dąży do ograniczenia znaczenia rynków w naszym życiu, lecz nie proponuje zmiany logiki kapitalizmu. Jeśli użyjemy typologii Fraser, dzielącej akcje na afirmatywne i transformacyjne (2003), tego rodzaju działania są afirmatywne, ponieważ odnoszą się do niektórych konsekwencji, natomiast nie dotykają leżących u ich podłoża struktur. Przykładem ilustrującym różnice pomiędzy tymi typami działań może być walka o zwiększenie zasiłków dla bezrobotnych w porównaniu do walki na rzecz zmniejszenia lub całkowitego zlikwidowania bezrobocia. To samo zastrzeżenie jest również prawdziwe w odniesieniu do analizy krytycznej państwa formułowanej w ramach dyskursu o dobrach wspólnych. Krytykuje ona państwo z powodu jego podejścia odgórnego, centralizacji i biurokracji, a także działanie w zmowie z interesami kapitału.

Fot. Flickr.com by Daniel X. O'Neil

Pomimo to, jej stanowisko jeśli chodzi o rolę państwa jest ambiwalentne; czy naszym celem jest jego dogłębna transformacja, czy też powinniśmy poświęcić nasze siły na rozwinięcie różnorodnych form praktyki dóbr wspólnych poza jego domeną, w jakiegoś rodzaju procesach równoległych i strefach autonomicznych?

Dlatego, chociaż dyskurs o dobrach wspólnych oferuje analizę krytyczną kapitalizmu, proponowane rozwiązania wydają się często niewystarczające dla rozwiązania stojących przed nami problemów. Sugeruje on tworzenie alternatyw poza domenami zarówno rynku jak i państwa: uprawianie własnych warzyw, przedszkola społecznościowe, gdzie na zmianę opiekujemy się dziećmi, udział w lokalnych samorządach lub budowanie demokracji w miejscach pracy poprzez partycypacyjne zarządzanie fabrykami. Wszystkie te inicjatywy mogą przyczyniać się do potwierdzenia alternatywnej wizji ludzkości, opartej na dzieleniu się i solidarności – lecz same w sobie są działaniami apolitycznymi i niekompletnymi, i nie są w stanie odnieść się do strukturalnej logiki, która jest prawdziwą przyczyną problemów. Mówiąc wprost, możemy mieć setki fabryk będących własnością robotników, lecz jeśli działają one w ramach kapitalistycznej logiki produkcji, nie przeprowadziliśmy transformacyjnej zmiany społecznej w kierunku radykalnej demokracji egalitarnej.

Słabość teorii dóbr wspólnych w odniesieniu do strukturalnych przyczyn niesprawiedliwości nie jest niczym zaskakującym, ponieważ praca Elinor Ostrom opierała się indywidualizmie metodologicznym, zgodnie z którym skutki społeczne można wyjaśnić dzięki zrozumieniu zachowania indywidualnych jednostek. Chociaż w celu przeprowadzenia zmiany społecznej potrzebujemy, rzecz jasna, teorii agencji, podstawowe pytanie brzmi, czy zakładamy, że podstawowym źródłem zmiany powinniśmy być my sami, poprzez zmianę naszego zachowania na skutek przyjęcia alternatywnych zasad współpracy i działania, czy też nasze wysiłki powinny być nakierowane na kolektywne działania na rzecz zmiany zarówno relacji ekonomicznych, jak i roli państwa. Uważam, że powinniśmy wybrać tę drugą opcję, i aby było to możliwe, dyskurs o dobrach wspólnych powinien się stać w większym stopniu otwarcie polityczny i ugruntowany w procesie demokratycznym.

Dobra wspólne jako radykalny projekt demokratyczny

Aronowitz (2006) pisał o powszechnej niechęci ruchów społecznych do politycznej organizacji i myślenia taktycznego, co przyczynia się do fragmentacji i bezsilności lewicy. Ponieważ aktywiści głęboko nie ufają obecnemu systemowi politycznemu i nie znoszą klas politycznych, praktycznie skazują się na marginalizację. Aronowitz odnosił się do sytuacji w USA, ale wydaje się, że to samo można powiedzieć o Chorwacji.

W ostatnich latach jesteśmy w Chorwacji świadkami rozkwitu myślenia krytycznego, ruchów społecznych, nowatorskich form organizacyjnych i projektów artystycznych. Chociaż powstały one niedawno, pozostają w przeważającym stopniu poza areną polityczną i na marginesie sfery publicznej. Ruchy społeczne nie przekształciły się niestety w podmioty polityczne ze znaczącym poparciem społecznym. Jest to brakujące ogniwo, ponieważ każda zmiana społeczna, której celem jest danie większej władzy zwykłym ludziom, spotka się z oporem. O większą władzę trzeba walczyć, i aby było to możliwe konieczne są trzy elementy: ruchy społeczne, podmiot polityczny i szerokie poparcie. Jak na razie w Chorwacji mamy tylko pierwszy z tych elementów. Podzielone lewicowe ruchy społeczne powinny włączyć się w proces polityczny i zrodzić podmiot polityczny – silną organizację, bez której, jak mówi Aronowitz „w złożonych społeczeństwach skuteczna interwencja jest praktycznie niemożliwa". Aby zapoczątkować zmiany transformacyjne, mobilizacja społeczna i polityczna musi być skierowana na zmianę reguł gry, a nie na szukanie obszarów, w których możemy grać poza boiskiem. Ruchy na rzecz dóbr wspólnych, których celem jest działanie poza domenami zarówno rynku, jak i państwa, są cenne, ponieważ stanowią rezerwuar alternatywnych praktyk i poglądów na świat, lecz wymagają politycznej artykulacji.

Gdybyśmy byli w stanie stworzyć tego rodzaju podmiot polityczny, paradygmat dóbr wspólnych mógłby być może zostać użyty jako bardziej neutralny mianownik tego, co jest gruncie rzeczy projektem socjalistycznym, wskrzeszonym i opracowanym na nowo na potrzeby dwudziestego pierwszego wieku – gdzie odrzucamy zarówno kapitalistyczny sposób produkcji, jak i scentralizowane zarządzanie państwem, na rzecz radykalnie demokratycznego i egalitarnego społeczeństwa opartego na zasadach społecznej, ekologicznej i politycznej sprawiedliwości. Aby to osiągnąć, potrzebujemy strategii politycznej opartej na kombinacji konfrontacji i kompromisu z istniejącymi instytucjami. Chcemy być w stanie skonfrontować się z państwem z siłą społeczną wystarczającą do tego, by zmusić je do istotnych ustępstw. Pomysł polega na stworzeniu mobilizacji społecznej, której siła umożliwi wprowadzenie zasad radykalnie poszerzonej demokracji, zarówno w dziedzinie relacji ekonomicznych, jak i organizacji władzy państwowej. Znaczyłoby to otwarcie obecnychinstytucji politycznych i gospodarczych na uczestnictwo obywateli poprzez różnorodne innowacyjne strategie, takie jak zgromadzenia obywatelskie, budżety partycypacyjne, instrumenty demokracji bezpośredniej, jak również bezwarunkowy dochód podstawowy i demokracja pracownicza, aby wymienić tylko niektóre. Te zmiany instytucjonalne, których dokładny kształt powinien być wynikiem procesu debaty społecznej, pomogłyby, moim zdaniem, w stworzeniu najważniejszych składników działań emancypacyjnych. Gdyby je wprowadzono, instytucje takie jak gwarantowany dochód podstawowy, zgromadzenia obywatelskie i demokracja pracownicza, miałyby – według Fraser – skutki transformacyjne, ponieważ zwiększyłyby sprawiedliwość społeczną, nie poprzez polityki „palliatywne", które nie zmieniają będących przyczyną problemów struktur społecznych, lecz rzeczywiście przekształcając leżącą u ich podłoża podstawową konfigurację władzy na styku przedsiębiorstwa, państwa i społeczeństwa. Tak właśnie rozumiem zmianę społeczną – nie jako binarne przełączenie z jednego systemu na drugi, lecz zmianę podstawowego układu władzy między gospodarką, państwem a społeczeństwem. Koncepcja dóbr wspólnych jako radykalny projekt demokratyczny oznaczałaby zatem rekonfigurację władzy – od gospodarki i państwa do społeczeństwa.

Tłumaczenie: Jan Skoczylas

Danijela Dolenec jest badaczką demokratyzacji i ekonomii politycznej Europy. Jej książka o instytucjach demokratycznych i autorytarnych rządach w Europie Południowo-Wschodniej zdobyła w Chorwacji w 2013 roku Państwową Nagrodę Naukową.

Rzeka Pluskawka Fot. Paweł Augustynek Halny

RZEKI PIENIĘDZY

Marta Wiśniewska

Szacuje się, że zaniechanie w Polsce działań adaptacyjnych do zmian klimatu i łagodzących skutki tych zmian to koszt 86 miliardów złotych do roku 2020. W kolejnej dekadzie zaniechania w tym zakresie będą jeszcze bardziej kosztowne, na poziomie 119 miliardów. Tymczasem publiczne pieniądze przeznaczone na cele określone w *Strategicznym planie adaptacji dla sektorów i obszarów wrażliwych na zmiany klimatu* wydawane są często nieefektywnie, niezgodnie z priorytetami Planu. Wiele przedsięwzięć, deklarowanych jako spójne z nim, nie pozwoli na osiągnięcie założonych celów, zwiększając ryzyko negatywnych skutków ekstremalnych zjawisk pogodowych – powodzi i suszy. Co więcej, planuje się na szeroką skalę inwestycje, które storpedują wysiłki, by przygotować Polskę na zmiany klimatu. Ucierpi na tym społeczeństwo, ucierpią polskie rzeki, a ogromne pieniądze zostaną po prostu zmarnowane.

Strategiczny plan adaptacji dla sektorów i obszarów wrażliwych na zmiany klimatu do roku 2020 z perspektywą do roku 2030 (SPA2020) zawiera zestaw kierunkowych działań, mających na celu poprawę odporności społeczeństwa i gospodarki na zmiany klimatu oraz zmniejszenia strat z tym związanych. W dokumencie wymienia się różne grupy przedsięwzięć, od infrastrukturalnych po prawne, organizacyjne i, co niezwykle ważne, edukacyjne. SPA2020 podkreśla konieczność wykorzystywania w działaniach, które mają służyć ochronie przeciwpowodziowej, w pierwszej kolejności rozwiązań najmniej inwazyjnych dla środowiska. Podobnie jak w unijnej Strategii adaptacji do zmian klimatu, SPA2020 w zakresie łagodzenia skutków suszy i gwałtownych wezbrań kładzie nacisk na rozwiązania oparte o potencjał ekosystemów – naturalną zdolność do magazynowania wody (retencji) i do spowalniania spływu wód. Takie podejście jest istotne nie tylko w kontekście ochrony przyrody, ale i z uwagi na efektywność działań. Nieskanalizowane i nieodcięte od swoich dolin rzeki to najskuteczniejsza metoda zapobiegania powodziom oraz eliminowania lub ograniczania skutków zarówno powodzi, jak i suszy. Ochrona i przywracanie retencji dolinowej, glebowej czy fitoretencji (magazynowania wody przez rośliny) to działania znacznie tańsze od rozwiązań infrastrukturalnych, którym z reguły towarzyszą również negatywne skutki środowiskowe.

Słuszna strategia i co z tego?

Ze względu na możliwości, jakie stwarza dostępność unijnych funduszy w perspektywie finansowej 2014-2020, kluczowym, choć nie jedynym narzędziem wdrażania SPA2020 są regionalne programy operacyjne RPO. Zapisy programów i dokumentów, które je uszczegóławiają, oraz dobór kryteriów wyboru projektów decydują o tym, czy istotna część środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego (EFRR) zostanie skierowana na efektywne i przyjazne środowisku działania adaptacyjne w gospodarce wodnej oraz (horyzontalnie) na realizację inwestycji odpornych na zmiany klimatu w innych sektorach. Można też, przy zastosowaniu mechanizmu finansowania krzyżowego, skierować dodatkowe środki z Europejskiego Funduszu Społecznego na działania informacyjno-edukacyjne.

Tymczasem, pod szyldem adaptacji do zmian klimatu, w wielu regionalnych programach operacyjnych zaprogramowano znaczne środki finansowe na inwestycje szkodzące zarówno przyrodzie polskich rzek, jak i celom adaptacyjnym. Jest to źródłem zagrożeń, ale i zmarnowaną szansą na efektywne wydanie w sumie miliarda złotych.

Przegląd regionalnych programów operacyjnych i towarzyszących im dokumentów strategicznych wskazuje bowiem, że znacząca część województw nie dostosowała RPO do zapisów SPA2020. RPO nie odzwierciedlają preferencji wyrażonych zarówno w SPA2020, jak i w unijnej *Strategii adaptacji do zmian klimatu*. Te preferencje to rozwój retencji naturalnej poprzez ochronę i renaturyzację obszarów wodno-błotnych oraz podejmowanie przede wszystkim przedsięwzięć nietechnicznych.

Strategia sobie, programy finansowania sobie…

Większość województw stawia niestety na retencję sztuczną, znacznie droższą i bardziej szkodliwą dla przyrody. W co najmniej dwunastu regionach zaplanowano **budowę, przebudowę i modernizację zbiorników i urządzeń piętrzących**, przy czym tylko w połowie z nich dodatkowo zaplanowano inwestycje w rozwój retencji naturalnej. Tylko w pięciu województwach RPO obejmuje budowę zbiorników suchych lub polderów (wypełnianych wodą w czasie wezbrań), efektywnych także w zakresie kosztów środowiskowych. Tylko w dwóch województwach: mazowieckim i podkarpackim zaplanowano dofinansowanie dla przywracania bezpieczeństwa i naturalnej retencji poprzez rozbiórkę budowli, m.in. przeciwpowodziowych, których technologiczna żywotność dobiegła końca, bądź które zagrażają bezpieczeństwu ekologicznemu lub społecznemu (np. mogą spowodować spiętrzenie fali wezbraniowej). Jedynie w województwie warmińsko-mazurskim pomyślano o działaniach fitoretencyjnych, zwiększających magazynowanie wody przez rośliny. W województwie śląskim adaptacja do zmian klimatu uwzględnia jedynie wsparcie sprzętowe służb ratowniczych.

W kilku województwach niepokoić mogą też te zapisy dokumentów strategicznych, które wskazują na możliwość objęcia wsparciem projektów oddziałujących negatywnie na ekosystemy wodne i od wód zależne, względnie projektów nieefektywnych, kontr-produktywnych w stosunku do celu, jakim jest ograniczenie ryzyka wystąpienia powodzi i suszy. I tak w województwach dolnośląskim i lubuskim dokumenty strategiczne dopuszczają finansowanie **regulacji rzek i potoków**, a przecież nie tylko degraduje się w ten sposób ekosystemy rzeczne, ale też powoduje to wzrost ryzyka wystąpienia powodzi na odcinkach cieków i ich dolin zlokalizowanych poniżej, przesuszając jednocześnie obszar doliny na regulowanym odcinku. W województwie świętokrzyskim zaplanowano finansowe wsparcie budowy **wielofunkcyjnych zbiorników retencyjnych**. W kontekście wyzwań adaptacyjnych są one rozwiązaniem nieefektywnym – mają małą pojemność powodziową, wynikającą z ich wielofunkcyjności (ze względu na przeznaczenie równocześnie retencyjne i rekreacyjne zbiornik będzie stale wypełniony) – a do tego w sposób istotny negatywnie oddziałującym na ekosystemy wodne i od wód zależne.

Co z miastami i edukacją ?

Wśród projektów możliwych do dofinansowania znalazły się co prawda działania związane z zagospodarowaniem wód opadowych i roztopowych w miastach, dostrzeżono też konieczność zamiany powierzchni nieprzepuszczalnych na przepuszczalne czy też konieczność „opóźnienia, spowolnienia odpływu". Nie było to jednak normą w każdym z województw. Mniej niż połowa z nich zaplanowała działania, które wychodzą naprzeciw zidentyfikowanym w SPA2020 problemom skutków zmian klimatu na obszarach zurbanizowanych. A przecież są to obszary z dużą gęstością zaludnienia, wrażliwe na ekstremalne zjawiska pogodowe, na których w porównaniu do terenów niezurbanizowanych temperatura może być wyższa nawet o 100C, a roczne opady większe o 10-15%.

Tylko w jednej czwartej województw dopuszcza się, aby elementem projektów adaptacyjnych były **działania informacyjno-edukacyjne** skierowane do mieszkańców regionu, odbiorców poszczególnych przedsięwzięć. W takiej samej liczbie województw zaplanowano wsparcie ukierunkowane na **podnoszenie kompetencji** osób odpowiedzialnych za funkcjonowanie systemów prognozowania, monitorowania, ostrzegania i reagowania na klimatyczne zjawiska ekstremalne. Wydaje się, że tylko dwa województwa: dolnośląskie i wielkopolskie rzeczywiście dostrzegają korzyści z tego typu działań, wzmacniających rezultaty realizowanych projektów i zapewniających ich długofalowe skutki.

Co gorsza, analizy istniejących kryteriów wyboru projektów wskazują, że żadne z województw nie wdraża mechanizmów zabezpieczających przed realizacją infrastruktury nieodpornej na skutki zmian klimatu czy zwiększającej ryzyko wystąpienia negatywnych skutków. I w tym zakresie zapisy SPA2020 zostały zignorowane, co w przyszłości przyniesienie dodatkowe koszty.

Inne poważne zagrożenia dla rzek

Jak widać, unijne i budżetowe pieniądze publiczne na działania adaptacyjne do zmian klimatu w dużej mierze chybiają celu. Niestety, ich złe wydatkowanie nie jest jedynym zagrożeniem dla rzek i dolin rzecznych i bezpieczeństwa społeczeństwa w przyszłości. Inne zagrożenie to wielkoskalowe plany inwestycyjne, np. te związane z rozwojem żeglugi śródlądowej po największych polskich rzekach. W czerwcu br. rząd przyjął założenia takiego programu, który kosztować ma blisko 80 miliardów złotych. W warunkach polskich wykorzystanie rzek do transportu towarowego wiązać się będzie z **przekształceniem koryt rzek i ich dolin**. Ze względu na wahania wielkości przepływów, a co za tym idzie i stanów wód, dla zapewnienia odpowiedniej głębokości toru wodnego stosuje się zabiegi inżynieryjne mające na celu skoncentrowanie koryta – mi. in. poprzez **pogłębianie, zmianę i ustabilizowanie przekroju poprzecznego** – oraz wielkoskalowe **budowle hydrotechniczne** gwarantujące również alimentację wód.

Tyle że poprzez techniczną ingerencję, zapewniającą możliwość żeglugi towarowej, naturalne i półnaturalne odcinki rzek dotychczas nieskanalizowanych oraz ich doliny tracą swe walory przyrodnicze i nie są zdolne do świadczenia usług ekosystemowych na dotychczasowym poziomie, w tym do łagodzenia skutków wezbrań i suszy. Specyficzny charakter układu przyrodniczego rzek i ich dolin, uzależniony m.in. od warunków geologicznych i hydrologicznych, sprawia, że strat w tym zakresie nie da się skompensować.

Zmarnowana szansa

Gdyby rzetelnie przeprowadzić analizę potrzeb, uwzględnić w rachunku kosztów i korzyści koszty społeczne i środowiskowe, ocenić skuteczność i efektywność, to miliardy złotych nie poszłyby na niszczenie rzek, a skutki zmian klimatu byłyby w przyszłości mniej odczuwalne. Tylko czy ktokolwiek przy planowaniu wydatków ze środków publicznych kieruje się rachunkiem innym niż polityczny, czy korzyściami innymi niż korzyści dla wpływowych grup interesu ? Czy ktokolwiek bierze pod uwagę konieczność zachowania walorów przyrodniczych dolin rzecznych? Za odpowiedź niech posłuży fakt, że ocenę potrzeb przewozów dla kluczowej inwestycji rządowej znajdującej się w *Strategii rozwoju żeglugi śródlądowej* – drogi wodnej E-70 po Odrze, Warcie, Noteci i Wiśle – oparto na wynikach… 17 ankiet.

W artykule wykorzystano: 1) analizy regionalnych programów operacyjnych opracowane – w ramach projektu *Fundusze europejskie dla zrównoważonego rozwoju w regionach*, zrealizowanego przy wsparciu funduszy EOG (Program Obywatele dla Demokracji) – przez Związek Stowarzyszeń Polska Zielona Sieć; 2) stanowisko Grupy Roboczej ds. Ochrony Ekosystemów Rzecznych na Wydziale Biologii Uniwersytetu Warszawskiego ws. planów rozwoju śródlądowych dróg wodnych w Polsce.

Dr Marta Wiśniewska – członkini Grupy Roboczej ds. Ochrony Ekosystemów Rzecznych na Wydziale Biologii Uniwersytetu Warszawskiego

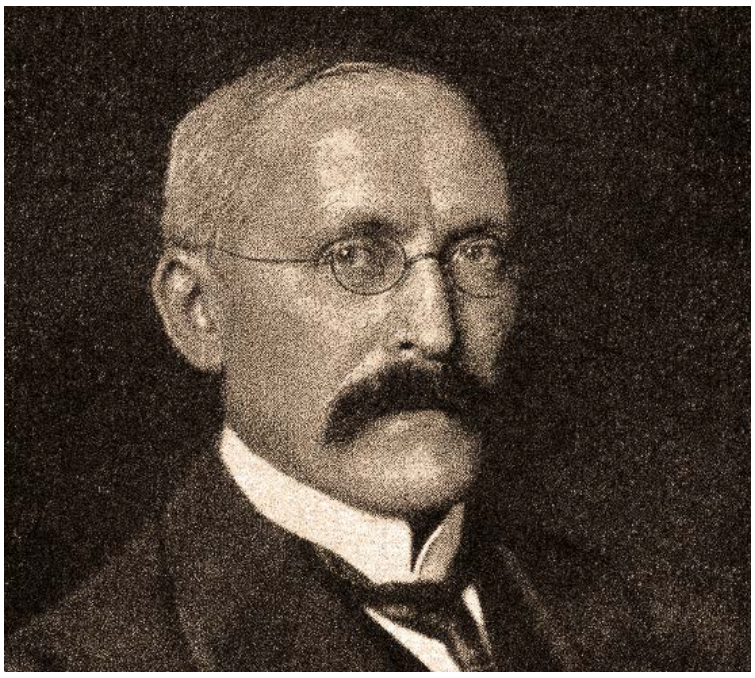

HUGO CONWENTZ

czyli historia prymatu dobra wspólnego nad interesem indywidualnym

Marek Kryda

Oto twój kraj. Podziwiaj jego naturalne skarby, jego naturalne zasoby, podziwiaj jego historię, jego romantyzm jako święte dziedzictwo dla dzieci twoich, jak i ich dzieci. Nie pozwól zapatrzonym w siebie ludziom, albo chciwym interesom okradać twój kraj z jego piękna, jego bogactwa i jego romantyzmu.

Prezydent USA, twórca 23 amerykańskich parków narodowych, Teodor Roosevelt

Prof. Hugo Conwentz – niemiecki Gdańszczanin, jeden z twórców europejskiego ruchu ochrony przyrody, jest uznawany również za ojca europejskich parków narodowych. Niemiecki przyrodnik Aleksander von Humboldt stworzył w XIX w. pojęcie „pomnika przyrody". Conwentz już w początkach swojej działalności rozwinął tę ideę, inwentaryzując pomnikowe głazy narzutowe na dzisiejszym Pomorzu Gdańskim, a następnie tworząc rejestr starych, pomnikowych drzew na terenach Polski. W roku 1909 pod wpływem idei Hugo Conwentza pierwsze parki narodowe w Europie tworzy Szwecja.

Po wkroczeniu wojsk niemieckich do Puszczy Białowieskiej w 1915 roku, administracja niemiecka rozpoczęła rabunkową eksploatację zasobów tego ostatniego lasu naturalnego na Niżu Europejskim. W ciągu 3,5 roku okupacji zdołano wyciąć gigantyczną ilość 5 mln m^3 puszczańskiego drewna. By ten cel osiągnąć, Niemcy budują w pobliskiej Hajnówce dwa ogromne tartaki, fabrykę suchej destylacji drewna, a także 300-kilometrową sieć wąskotorowej kolejki leśnej, pozwalającej sięgać po zasoby nawet najdalszych zakątków puszczy.

W tym czasie Hugo Conwentz przekonuje dowództwo armii niemieckiej do oszczędzenia choć części puszczy. Na podstawie badań naukowych opracował on plan utworzenia na północ od Białowieży dużego rezerwatu leśnego chroniącego najcenniejszą część Puszczy Białowieskiej. W konsekwencji jego wysiłków, na początku 1918 roku niemiecki zarząd leśny wyznaczył wyłączony z użytkowania gospodarczego obszar o powierzchni ok. 30 km^2. Na urzędowej mapie teren ten oznaczono jako *Naturschutzpark* – po latach stał się on pierwszym polskim Parkiem Narodowym. Zmarły w 2015 r. obrońca Puszczy Białowieskiej – Janusz Korbel pisał: „Paradoksalnie, to właśnie Niemcy, którzy potwornie puszczę wyrżnęli podczas wojny – utworzyli tutaj pierwszy rezerwat i po prawdzie to Hugo Conwentzowi należałoby postawić w Białowieży pomnik lub chociaż nazwać jego imieniem ulicę."

Gdy przed 25 laty zdecydowałem się być przewodnikiem turystycznym w Białowieskim Parku Narodowym, bardzo szybko dostrzegłem, że docierają tu turyści ze wszystkich kontynentów – ta puszcza stała się na całym świecie symbolem naturalności środowiska, stała się swoistym miejscem pielgrzymkowym. W latach 90-tych spośród Europejczyków szczególnie często była ona odwiedzana przez Holendrów, od których szybko nauczyłem się dwóch znaczących holenderskich słów: *mooi bos* –„piękny las" – były to słowa szczególnie często przez nich powtarzane. W Holandii wycięto lasy już przed dwoma tysiącami lat – dla mieszkańców tamtejszych bezleśnych polderów dzikość puszczy to coś zupełnie niezwykłego – to coś jakby z innej planety…

Pewnego czerwcowego dnia szliśmy do puszczy Parkiem Pałacowym w Białowieży z dyrektorem zieleni miejskiej Amsterdamu, który na widok kwitnących parkowych trawników przystanął i wykrzyknął: „Jaki wspaniały widok! My w Holandii nigdy nie widzimy tych wszystkich kwitnących gatunków traw, bo z zasady kosimy je przed kwitnieniem". Holandia to jeden z najbardziej rozwiniętych krajów świata – czy rzeczywiście rozwój musi oznaczać fundamentalną ingerencję w środowisko? Albo inaczej – czy wtłaczanie natury w karby ograniczonych ludzkich wyobrażeń to rzeczywisty „rozwój"? Czy o taki rozwój nam chodzi?

Nie ma wątpliwości co do tego, że fenomen ocalenia Puszczy Białowieskiej stał się wyzwaniem dla zachodniego paradygmatu wydajności i produktywności. Ostatni las naturalny Europy ocalał, ponieważ carom Wszechrusi zabrakło praktycznego umysłu Holendrów. Rosyjscy imperatorzy zamiast zyskownie sprzedawać 40 metrowe białowieskie kolosy na deski, woleli widzieć puszczę jako teren swoich polowań, i to polowań nie byle jakich – carowie polowali na największe ssaki Europy – żubry. Z punktu widzenia Holendrów czy Niemców władcy Rosji byli niewiarygodnie zacofani – oni zamiast zamienić puszczańskie drewno na gotówkę, woleli tam polować! Cóż za marnotrawstwo! Miliony kubików dębiny i drewna jesionu gnije w lesie! Tak, to prawda – osiemnastowieczni władcy Polski czy carowie Rosji zdecydowanie nie rozumieli kapitalizmu, tej ideologii przeliczanego na jednostki monetarne zysku i straty. Ideologii mówiącej: „Jeżeli coś nie da się zmierzyć (przeliczyć na pieniądze?) – nie istnieje!".– oni głęboko tkwili w feudalizmie. Feudalizm to ustrój w którym pozycji społecznej danej osoby nie określa jej majątek – pieniądz. W feudalizmie liczy się pozycja w piramidzie feudalnej podległości – tu właśnie pozycja, status feudalny - daje pieniądze, a nie odwrotnie. Stąd dla władców największego państwa świata – rosyjskich carów, najważniejsze było pokazanie swojego statusu – najwyższej pozycji w feudalnej hierarchii. I do tego celu Puszcza Białowieska nadawała się doskonale – gatunek ginący — żubr europejski ostał się na wolności jedynie tutaj. Nie było innego władcy na świecie, który mógłby na te królewskie zwierzęta polować – to właśnie dlatego carowie otoczyli puszczę ścisłą ochroną.

Czy nie jest tak, że harmonii z przyrodą nie da się zaplanować, zorganizować, zaksięgować czy wyprodukować? Ktoś powiedział, że logika ciągłego wzrostu, to logika komórki rakowej. Harmonii natury obce jest pojęcie wzrostu za wszelką cenę dlatego najbardziej bogate, najbardziej rozwinięte ekosystemy to ekosystemy nieekspansywne – zrównoważone. Nauka o środowisku mówi: „Dojrzały ekosystem stanowi ogromną ilość związków pomiędzy jego składnikami: drzewami, podszytem, runem leśnym, glebą, grzybami, owadami i zwierzętami." Tutaj równowaga jest wynikiem subtelnej sieci wzajemnych wpływów i zależności. Tak, jak ciągle odkrywamy nowe gatunki roślin czy zwierząt, tak samo powoli poznajemy elementy tej sieci. Biolog Anna Kujawa pisze, że Puszcza Białowieska jest: „wielowiekowym, wielogatunkowym lasem naturalnym, w którym ciągłość procesów ekologicznych (w tym zamierania drzew i przywracania składników w nich zgromadzonych do gleby Puszczy) spowodowała, że fragment Puszczy jakim jest Białowieski Park Narodowy jest najbogatszą w gatunki grzybów ostoją w Polsce. Na obszarze 0,03% Polski rośnie tu co najmniej 47% wszystkich grzybów wielkowocnikowych znanych z terenu naszego kraju."

Według brytyjskiego naukowca - Jamesa Lovelocka cała nasza planeta nie jest jakąś bezładną masą mieszających się i reagujących przypadkowo ze sobą związków chemicznych, lecz żywym, samoregulującym się organizmem stanowiącym jedną wielką, harmonijną i niepodzielną całość. Wszystkie żywe organizmy – od bakterii, aż do płetwali błękitnych; od podmorskich alg, aż po tysiącletnie sekwoje, mają jeden wspólny cel – działanie dla podtrzymania istnienia całego środowiska.

Można zapytać: Kiedy wreszcie zaczniemy postrzegać Naturę jako swego przyjaciela, a nie wroga z którym, albo musimy prowadzić nieustanną walkę, albo naturę „czynić sobie poddaną", ograniczając, regulując, sterylizując, modyfikując?

Naturalne ekosystemy Puszczy Białowieskiej, tak, jak jej żubry, możemy dziś oglądać wyłącznie dzięki ludziom, którzy płynęli pod prąd (nieprzypadkowo mówi się, że „z prądem płyną tylko śnięte ryby"). Taki był Hugo Conwentz. W czasach rewolucji przemysłowej był niestrudzonym orędownikiem ochrony przyrody – występował między innymi na: I Kongresie Ochrony Krajobrazu w Paryżu (1909 r.), także na konferencjach naukowych w Pradze i Brnie (1913 r.), których następstwem było powołanie w Czechach i na Morawach pierwszych organizacji ochrony przyrody. Jego seria wykładów wygłoszonych w 1904 r. w Szwecji tak poruszyły rząd i szwedzką opinię publiczną, że już pięć lat później utworzono tam pierwsze europejskie parki narodowe. W 1906 r. dzięki staraniom prof. Conwentza, powstał w Gdańsku pierwszy Urząd Konserwatora Przyrody.

Hugo Conwentz pochodził z rodziny mennonickiej wyznającej prymat dobra wspólnego nad interesem indywidualnym. Dla mennonitów podstawowe wartości to: równość, solidarność społeczna, oraz współodpowiedzialność. Mennonici są pacyfistami – odrzucają przemoc jako sposób rozwiazywania konfliktów, nie noszą i nie używają broni, obowiązuje ich zakaz sprawowania wysokich urzędów, nie uznają hierarchii kościelnej, odmawiają też pełnienia służby wojskowej – za co nie raz spotykały ich prześladowania. Mennonici to także mistrzowie osuszania terenów zalewowych i walki z powodziami, są uznawani za swoistych pionierów ruchu ekologicznego – robili wiele, by zrozumieć procesy przyrodnicze w swoim otoczeniu. Dzięki tej wiedzy mogli przekształcać otoczenie przyrodnicze w sposób niedestrukcyjny.

Marek Kryda - współzałożyciel Towarzystwa Ochrony Puszczy Białowieskiej, pierwszy redaktor naczelny „Głosu Białowieży"

Fot.Flickr.com : Frank Vassen

ZAPŁACZ NAD RZEKĄ

Polskie rzeki – zagrożone dobro wspólne

Rzeka Skawa, Fot.: K. Sarapata

Radosław Gawlik
Ewa Sufin-Jacquemart

Rządowe plany rozwoju śródlądowych dróg wodnych grożą zniszczeniem polskich rzek, które powinny być kontrolowane i zarządzane przez lokalne społeczności, a przynajmniej z ich udziałem. Unikalne przyrodniczo rzeki Wisła i Odra są wspólnym dobrem Polaków i Europejczyków, które - w interesie wąskiego lobby i w imię fałszywej obietnicy rozwoju gospodarczego i lepszej ochrony przeciwpowodziowej - może doznać wielkich szkód. W rzeczywistości plany te doprowadzą niechybnie do większych powodzi, suszy, konfliktów oraz zniszczenia niezwykle cennych siedlisk, nie poprawiając bynajmniej dobrostanu lokalnych społeczności.

Nastawiona na zrównoważony rozwój Unia Europejska wydaje się najbardziej zaawansowanym zakątkiem świata w zakresie ochrony środowiska, polityki klimatycznej i długofalowej ochrony zasobów niezbędnych do życia, w tym wód. Ponieważ czysta woda jest do życia niezbędna, rzeki, jeziora, wody powierzchniowe i wody podziemne stanowią dobra wspólne (wspólne zasoby) Europejczyków, które – dla zapewnienia dobrostanu dzisiejszych i przyszłych pokoleń – muszą być chronione przez przepisy i instytucje UE. Ramowa Dyrektywa Wodna, która powinna zostać wdrożona przez kraje członkowskie do końca 2015 roku, miała zapewnić osiągnięcie „dobrego stanu wód". Jej intencją jest pogodzenie wymogów ochrony środowiska z interesami ludzi. Trudne zadanie. Bo dyrektywa niewiele mówi na temat regulacji rzek i hierarchii potencjalnego ich wykorzystania ani w jaki sposób najlepiej chronić ludzi przed ich destrukcyjną mocą. Rzeki pełnią bardzo liczne funkcje i są tymi **dobrami wspólnymi**, wokół których istnieje chyba najwięcej sporów o to, jak je najlepiej wykorzystać, jakim i czyim potrzebom i interesom mają priorytetowo służyć. W dzisiejszej Polsce, ale też szerzej w Unii Europejskiej, lokalne społeczności mają niewielki wpływ na decyzje dotyczące rzek, mimo iż są one zasobami mającymi istotny wpływ na jakość ich życia.

W Polsce rzeki należą niewątpliwie do kategorii zagrożonych dóbr wspólnych, czego głębszą świadomość ma dziś niestety tylko nieliczna grupa ekspertów przyrodników, ekologów i hydrologów oraz niektóre samoorganizujące się grupy wędkarzy i promotorów rzecznej ekoturystyki. Media i opinię publiczną zdominowało wiele stereotypów, utrzymywanych przez lobby melioracyjno-hydrotechniczne, np. o rzekomej konieczności prostowania rzek czy oczyszczania ich koryt. W post-komunistycznym kraju, jakim jest Polska – tradycyjnie katolickim, antropocentrycznym i zindywidualizowanym – obywatele nie są wystarczająco świadomi, aby zadbać razem o dobro wspólne, oprzeć się utowarowieniu i prywatyzacji, silnie promowanym przez produktywistyczną ideologię neoliberalną.

Nadambitne plany zagrażające rzekom

Odra i Wisła, dwie największe polskie rzeki, są dziś przedmiotem nadambitnych planów rozwoju żeglugi śródlądowej. Odra, uregulowana pod koniec XIX i na początku XX w., stanowiła do niedawna najdłuższy szlak wodny w Polsce, stopniowo coraz mniej używany ze względu na zbyt niski poziom wody oraz brak funduszy na kosztowne utrzymanie szlaków i ich odpowiedniej dla transportu towarowego głębokości. Wisła jest natomiast prawdopodobnie największą zbliżoną na ogół do naturalnej, „dziką" rzeką w Unii Europejskiej. Cała rzeka i dolina stanowi nieprzebrane bogactwo przyrodnicze. Jej bieg obejmuje dwadzieścia obszarów Natura 2000, szesnaście rezerwatów przyrody, pięć parków krajobrazowych i trzynaście obszarów chronionego krajobrazu oraz otulinę podwarszawskiego Kampinoskiego Parku Narodowego. Poza uregulowanym krótkim odcinkiem Górnej Wisły w okolicach Krakowa, na pozostałych ponad 900 km rzeki znajduje się tylko jedna zapora wodna, wybudowana między 1962 a 1970 rokiem.

Przygotowane przez polskie Ministerstwo Żeglugi i Gospodarki Morskiej oraz przyjęte przez Radę Ministrów „Założenia rozwoju śródlądowych dróg wodnych w Polsce na lata 2016-2020 z perspektywą do 2030 r." przewidują wielkie plany rozwoju żeglugi śródlądowej na Odrze i Wiśle oraz połączenie obydwu rzek kanałem. Gdyby zostały zrealizowane, to m.in. wspaniała, niezwykle cenna przyrodniczo i w pełni objęta ochroną Natura 2000 Dolina Środkowej Wisły stałaby się skanalizowaną drogą wodną w ramach rzecznej autostrady E40 od Odessy do Gdańska. W proteście przeciw tym planom ponad sześćdziesięciu przedstawicieli organizacji od lat śledzących los rzek, takich jak Stowarzyszenie Ekologicznie EKO-UNIA, wspieranych przez naukowców i przedstawicieli samorządów, wystosowało **Apel** http://bit.ly/2b5Pl4g. Sprzeciwiono się w nim rządowemu planowi i podważono jego uzasadnienie wskazujące jednostronnie na same korzyści, jak wzrost udziału przewozów żeglugi śródlądowej na rzekach, wzrost konkurencyjności portów morskich ujścia Odry i Wisły z powodu pojawienia się żeglugi, aktywizacja gospodarcza, poprawa bezpieczeństwa powodziowego czy produkcja odnawialnej energii na powstałych na rzekach piętrzeniach.

> „Polska ma mało wody, a zasoby polskich wód należą do najniższych w Europie

Autorzy Apelu podważają wskazywaną „konieczność gonienia Europy Zachodniej", gdyż, jak piszą: „nie powinna być dla nas argumentem i wzorem żegluga śródlądowa na Renie, która rozwijała się w ubiegłym wieku przy zupełnie innym stosunku do ochrony bioróżnorodności, w innej epoce gospodarczej oraz warunkach klimatycznych. Tu powinniśmy być szczególnie ostrożni w przenoszeniu wzorców krajów zachodnich." Ponadto istnieją znacznie wartościowsze przykłady do naśladowania w krajach zachodnich, jak rzeki Loara i Dordogne we Francji, z wieloma lokalnymi inicjatywami w oparciu o zasadę dostosowywania łodzi do rzeki, a nie odwrotnie.

Można śmiało stwierdzić i ma to oparcie w ekspertyzach naukowych, że plany te są całkowicie sprzeczne ze zbiorowym interesem: doprowadzą do zwiększenia zagrożenia powodziowego, silniejszych susz, spowodują straty gospodarcze, powiększenie deficytu budżetowego, potencjalne konflikty o wodę, wreszcie doprowadzą do dewastacji polskiej przyrody o europejskim znaczeniu. Inwestycje publiczne dla ich realizacji służyłyby przede wszystkim interesowi przemysłu hydrotechnicznego.

Źródło konfliktów i zagrożeń

Polska ma mało wody, a zasoby polskich wód należą do najniższych w Europie. Konsekwentnie zbudowana i prowadzona w oparciu o środki publiczne żegluga śródlądowa może zabrać wodę innym sektorom i doprowadzić do niedoborów wody pitnej i konfliktów o wodę. Za większość poborów wód w Polsce odpowiadają dziś procesy produkcyjne, zwłaszcza energetyka oparta na spalaniu węgla, a następnie pobór wód przez sieci wodociągowe i nawodnienia. Polska produkuje 88% energii elektrycznej w elektrowniach węglowych, a energetyka oparta na węglu jest najbardziej wrażliwa na niedobory wody ze względu na konieczność chłodzenia. Ponadto, wraz z narastającym ociepleniem i powtarzającymi się suszami, należy się spodziewać masowego rozwoju systemów do nawadniania pól, jak na południu Europy. Istnieje więc groźba zbudowania z rzek drogich kanałów, w których nie będzie wody.

Projekt polskiego rządu nie dostrzega naturalnych sprzeczności między potrzebami żeglugi i ochrony przeciwpowodziowej. Żegluga będzie wymagać magazynowania wody w zbiornikach wielofunkcyjnych, aby zasilać spływ statków podczas częstych w Polsce niskich stanów wody. Ochrona przeciwpowodziowa powinna mieć te zbiorniki puste, aby mogły one przejmować silne fale powodziowe wyprostowanych i uregulowanych rzek. Żegluga oraz produkcja prądu na nowych piętrzeniach w elektrowniach wodnych zderza się z zapotrzebowaniem na wodę energetyki konwencjonalnej, którą Polska pragnie utrzymać jako główne źródło energii jeszcze przez dziesięciolecia, a która nie może funkcjonować bez wody z rzek do procesów technologicznych.

Ukryte koszty: ryzyko powodzi i nieodwracalne szkody ekologiczne

W planach dotyczących żeglugi śródlądowej nie ma mowy o dewastacji przyrodniczej, która spotka zbliżone do naturalnych polskie rzeki i ich doliny, jeżeli te plany zostaną zrealizowane. **Polskie wciąż wyjątkowe przyrodniczo rzeki, podziwiane w Europie, to prawdziwy skarb i dziedzictwo bioróżnorodności nie tylko polskiej, ale też europejskiej**. Większość dolin dużych rzek w Polsce pokrywają obszary Natura 2000, chroniące siedliska europejskie, florę i faunę, w tym ptaki. Regulacja Wisły i Odry oraz budowa drogi wodnej Odra – Wisła oznaczają zniszczenie tych obszarów na niewiarygodną skalę. To łamanie nie tylko Ramowej Dyrektywy Wodnej, ale także Dyrektyw Siedliskowej i Ptasiej.

Dokument rządowy twierdzi, że użeglownienie wielkich rzek poprawi bezpieczeństwo powodziowe, ale zarówno aktualna wiedza naukowa, jak i doświadczenie kilkudziesięciu lat regulacji europejskich rzek wykazują, że głęboka regulacja rzek oraz budowa zapór i zbiorników mających zasilać żeglugę – przy nieuchronnych niskich stanach wód wraz z coraz częstszym zjawiskiem gwałtownych opadów – powodują wzrost ryzyka i zagrożenia powodziowego. Zapewnienie funkcji żeglugi śródlądowej jest sprzeczne z funkcją ochrony przeciwpowodziowej. Zwiększone ryzyko powodziowe oznacza dodatkowe wysokie koszty budowy zabezpieczeń powodziowych i ich utrzymania. Tak więc wydanie 80 mld złotych na program żeglugi (część ekspertów twierdzi, że jest to koszt kilkakrotnie zaniżony!) to nie koniec wydatków publicznych, wręcz przeciwnie.

Rzeka Wilga przed i po regulacji. Fot.: Cecylia Malik

Publiczne pieniądze wydane przeciw wspólnemu dobru

Żegluga rzeczna to zamierający podsektor transportu, obarczony ryzykiem niepewności wobec zmiennych warunków klimatycznych. Bezcelowa jest jego kosztowna reanimacja. Ministerstwo żeglugi obiecuje przewożenie 20 mln ton towarów po Odrze oraz 7,8 mln ton po Wiśle w 2020 r., jednakże te liczby wydają się całkowicie nierealne. Poza tym towary te można bez problemu przewieźć rozwijaną aktualnie za unijne pieniądze państwową koleją, dofinansowywaną i modernizowaną za miliardy złotych i euro od wielu lat, która ma i będzie mieć dużo większą i niewykorzystaną zdolność przewozową, niż miałyby przekształcone w kanały polskie rzeki.

Rozwój polskiej żeglugi śródlądowej ma kosztować prawie 20 mld euro do 2030 r., w tym ok. 2,3 mld euro do 2020 r. **Projekt rozwoju żeglugi rzecznej nie służy dobru wspólnemu i nie niesie żadnych wspólnych korzyści gospodarczych, społecznych czy ekologicznych, a już na pewno nie dla lokalnych społeczności**.

Zamiast takiego projektu pożądany i potrzebny byłby realistyczny program wsparcia rozwoju lokalnej i ponadlokalnej żeglugi pasażerskiej oraz turystycznej, która korzystałaby z piękna tych rzek i ich walorów przyrodniczych. System mógłby też obejmować lokalne przewozy towarów po rzekach. Zasada jest tu prosta – dostosowujemy jednostki pływające, ich zanurzenie, do rzeki, a nie odwrotnie. Program rządowy i Banku Światowego chcą przywrócenia na koszt podatników barek o zanurzeniu ponad 2 m i długości ok. 100 m. Ofiarą tego pomysłu mają być Wisła i Odra. To szkodliwa iluzja.

Finansowanie destrukcji rzek: uzupełniająca rola funduszy UE

Program rozwoju żeglugi śródlądowej aktualnego polskiego rządu nawiązuje do umowy pożyczki podpisanej przez poprzedni rząd z Bankiem Światowym na sfinansowanie programu ODRA-VISTULA FLOOD MANAGEMENT PROJECT, rzekomego programu ochrony przeciwpowodziowej, a de facto programu regulacji i użeglownienia tych rzek (na pewno Odry).

Ten zaskakujący program Banku Światowego został przygotowany „w skrytości" oraz przyjęty przez polski rząd po selektywnych konsultacjach społecznych, o których nie wiedziały i nie brały w nich udziału liczące się organizacje pozarządowe zajmujące się wodami. **Program o wielkości ponad 1,317 mld dolarów stanowią m.in. pożyczki z Banku Światowego (504 mln dol) oraz Banku Rozwoju Rady Europy (329 mln dol), ale** [także dotacja Unii Europejskiej (219 mln dol)](#).

Program ten wpisuje się w trwający kilkadziesiąt lat proces „ujarzmiania" rzek, co jest podejściem likwidującym ich naturalne funkcjonowanie i wyjątkowe ekosystemy. Plany te stworzono, pomimo iż doświadczenie i wiedza naukowa wykazują od lat, że naturalna rzeka, meandrująca, stale zmieniająca swój kształt i formy, wylewająca na tereny zalewowe w okresach wezbrania i cofająca się stopniowo do własnego nurtu, tworzy znacznie bogatsze ekosystemy i znacząco bardziej przyczynia się do dobrostanu lokalnych społeczności, a do tego znacznie lepiej chroni przed dramatycznymi w skutki powodziami.

A jednak Bank Światowy zgodził się na finansowanie tych inwestycji. Co dziwniejsze, projekt uzyskał też dofinansowanie z Unii Europejskiej, która protestowała przeciwko regulacjom i niszczeniu rzek i potoków ze środków unijnych w latach 2007-13 oraz zakwestionowała wydatki melioracyjne i hydrotechniczne w Polsce na kwotę setek milionów euro, uznając je za sprzeczne z Ramową Dyrektywą Wodną. A teraz Komisja Europejska ma zamiar finansować działania łamiące Dyrektywy Siedliskową i Ptasią oraz Ramową Dyrektywę Wodną? W tej sprawie sygnatariusze Apelu wysłali we wrześniu zapytanie do Komisarza UE d/s Środowiska. Na razie pozostaje ono bez odpowiedzi.

Ratowanie rzek oznacza wzmacnianie lokalnych społeczności

Czas przypomnieć decydentom i opinii publicznej, że rzeki tworzą niezwykle wartościowe ekosystemy i należą do dóbr wspólnych wszystkich ludzi, jak i innych istot. Zarządzanie rzekami, na wszystkich poziomach, powinno służyć społecznościom lokalnym i przyszłym pokoleniom, a także podlegać społecznej partycypacji i kontroli. W ten sposób wspólne zasoby stopniowo stawałyby się dobrami wspólnymi, *the commons*. Jednakże aby taka partycypacja i kontrola mogły mieć miejsce i były skuteczne, trzeba doprowadzić do obalenia stereotypów o rzekomo koniecznej i opłacalnej regulacji rzek, a obywatele – w ich własnym interesie oraz w interesie przyszłych pokoleń i ekosystemów – muszą posiąść wiedzę i zrozumienie, jak funkcjonują naturalne rzeki i na czym powinna polegać zrównoważona gospodarka ich wodami.

Zamiast promowania nierealnych dziś marzeń o nowych drogach wodnych, władze krajowe i lokalne powinny wspierać lokalną partycypację i samorządność społeczności mieszkających w pobliżu rzek, tak by ochronić te szczególne wspólne dobra przed ich przejęciem przez grupę interesów powiązaną i wpisaną w system państwowy. Obywatele powinni być aktywnie zaangażowani w utrzymanie terenów zalewowych ważnych dla ochrony przeciwpowodziowej oraz w zapewnienie wspólnego i zrównoważonego wykorzystania rzek do ekoturystyki, wędkowania i małego transportu lokalnego. Umożliwi to ochronę naturalnych funkcji ostatnich naturalnych dużych rzek Europy i ich unikatowych ekosystemów.

Sygnatariusze Apelu kontynuują kampanię. Złożyli list i Apel do prezesa Banku Światowego w Waszyngtonie oraz demonstrowali pod Biurem BŚ w Warszawie w sierpniu br. Domagają się wstrzymania projektu BŚ oraz takiej jego modyfikacji, aby to był program ochrony przeciwpowodziowej, nie niszczący europejskiej przyrody, chronionej siecią Natura 2000. List skierowali również do Komisarza ds. Środowiska UE, gdyż Komisja Europejska nie powinna wspierać projektów Banku Światowego, dewastujących obszary chronione przepisami UE.

Powyżej: rzeka Warta, nieuregulowany fragment. Fot.: Dominik Dobrowolski. Poniżej: jednej z ostatnich nieuregulowanych rzek na Śląsku, która ma zostać przekształcona w Kanał Śląski. Fot.: Marek Karetta

JAK ZNISZCZONO SAMORZĄDNĄ RZECZPOSPOLITĄ

Piotr Ciszewski

Przy okazji kolejnych rocznic Porozumień Sierpniowych 1980 roku czy stanu wojennego z 13 grudnia 1981 roku wiele się mówi o historii NSZZ Solidarność. Wstydliwie pomijane są jednak społeczne postulaty związkowców. Ich walkę sprowadzono do protestu „przeciwko komunie", w obronie religii oraz narodowych wartości. W rzeczywistości chodziło o coś zupełnie innego. Robotników nie porwały hasła religijne, lecz walka o społeczne postulaty, które większość kapitalistów uznałaby za „niebezpieczny populizm".

17 sierpnia 1980 roku Międzyzakładowy Komitet Strajkowy ogłosił 21 postulatów opracowanych przez protestujących robotników. Niemal wszystkie z nich miały podłoże ekonomiczne i społeczne, a nie polityczne. Domagano się, poza swobodą tworzenia niezależnych związków zawodowych, na przykład zniesienia przywilejów partyjnej oligarchii oraz MO. Postulowano również obniżenie wieku emerytalnego dla kobiet do lat 50 i 55 dla mężczyzn.

Wśród postulatów strajkujących w roku 1980 znalazło się wiele takich, które przyprawiłyby o ból głowy współczesnych kapitalistów. Robotnicy domagali się między innymi wprowadzenia urlopu macierzyńskiego płatnego przez okres trzech lat na wychowanie dziecka. Chcieli również zapewnienia odpowiedniej liczby miejsc w żłobkach i przedszkolach dla dzieci kobiet pracujących oraz poprawy stanu służby zdrowia tak, aby objęła wszystkich ludzi pracy.

Strajk toczył się także o demokratyzację polityki gospodarczej. Nie chodziło o dopuszczenie do podejmowania decyzji nowych ekspertów związanych z opozycją, ale „umożliwienie wszystkim środowiskom i warstwom społecznym uczestniczenie w dyskusji nad programem reform". Z pewnością postulat ten byłby przez współczesnych, głównonurtowych ekonomistów uznany za populistyczne dążenie do psucia gospodarki.

Porozumienia z 31 sierpnia 1980 roku doprowadziły do legalizacji NSZZ „Solidarność" oraz rozwoju tego związku zawodowego. Kierunek działania organizacji pracowniczych był wówczas zdecydowanie prospołeczny oraz demokratyczny. Podczas I Zjazdu NSZZ Solidarność, 7 października 1981 roku, uchwalono program Samorządna Rzeczpospolita. O ile treść 21 postulatów jest w miarę znana, to treść programu NSZZ „Solidarność" jest całkowicie pomijana przy okazji rocznic, ponieważ stanowi jeszcze większy wyrzut sumienia dla obecnej postsolidarnościowej klasy politycznej. Już we wstępie autorzy programu Samorządnej Rzeczpospolitej pisali: *Złączył nas protest przeciwko traktowaniu obywatela przez państwo jako swojej własności, przeciwko pozbawieniu ludzi pracy prawdziwej reprezentacji w konfliktach z państwem.*

Znamienne jest też inne zdanie ze wstępu do programu: *Chcemy rzeczywistego uspołecznienia systemu zarządzania i gospodarowania. Dlatego dążymy do Polski samorządnej.* Związkowcy z ówczesnej Solidarności dążyli do udziału pracowników w zarządzaniu zakładami. Przebudowa państwa i gospodarki, przez wielu współczesnych polityków wywodzących się z tak zwanej „demokratycznej opozycji" określana jako dążenie do likwidacji realnego socjalizmu, była w rzeczywistości propozycją przebudowy systemu, a nie jego zmiany w kapitalizm. Podstawową propozycją było wprowadzenie sieci zarządzanych społecznie przedsiębiorstw, w których dyrektorzy współrządziliby z załogami. Dyrektorzy mieli być także wyłaniani w ramach konkursów i w pełni odwoływalni przez pracowników. Co więcej nawet planowanie gospodarcze miało podlegać społecznej debacie. W tym celu autorzy programu domagali się nawet społecznej kontroli nad danymi zbieranymi przez Główny Urząd Statystyczny. Chcieli również, aby społeczne projekty były obowiązkowo poddawane debacie publicznej.

„Samorządna Rzeczpospolita" zawierała liczne zapisy o pomocy dla osób najbiedniejszych oraz zarządzaniu produkcją przez samorządy pracownicze, tak aby dobra trafiały w pierwszym rzędzie do najbardziej potrzebujących, a dopiero później były wykorzystywane komercyjnie.

Za bardzo ważne robotnicy uznawali utrzymywanie produkcji dóbr konsumpcyjnych. Postulowali w tym celu między innymi ograniczenie do niezbędnego minimum wydatków zbrojeniowych.

Fot. z archiwum www.solidarnosc1980.pl

Na uwagę zasługuje również proponowany system chronienia ludzi pracy przed skutkami kryzysu. Związek proponował między innymi stworzenie listy podstawowych towarów i usług, których wzrost cen powinien być rekompensowany. Postulował także podwyższanie progów dochodów uprawniających do pobierania zasiłków, stypendiów i innych świadczeń. Są to propozycje diametralnie odmienne od zawartych we współczesnych, kapitalistycznych „pakietach antykryzysowych".

Dużą rolę w postulatach związkowców odgrywało zrównywanie płac. Postulowali na przykład *ustanowienie płacy minimalnej na poziomie połowy płacy średniej, nie niższej niż minimum socjalne*. Dodatkowo proponowali wariant polegający na opodatkowaniu nadmiernie wysokich płac, co dotyczyłoby głównie zarządów oraz wyższej kadry dyrektorskiej.

Program „Samorządna Rzeczpospolita" można uznać za rewolucyjny w zakresie postulowanych regulacji prawa pracy. NSZZ „Solidarność" domagała się między innymi *uzyskania inicjatywy ustawodawczej przez Związek w zakresie stosunków pracy i ubezpieczeń społecznych. Postulowała, aby związek miał prawo zgłaszania sprzeciwu w stosunku do projektów przepisów prawnych z zakresu stosunków pracy i ubezpieczeń społecznych.*

Walka toczyła się również o zmiany sposobów pomocy rodzinie, na przykład: *Przyznawanie zasiłku macierzyńskiego i wychowawczego wszystkim matkom, nie tylko pracującym, na okres przynajmniej 3 lat.*

W dziedzinie polityki mieszkaniowej proponowano szersze wspieranie spółdzielczości. Zarządy regionalne związku miały także zająć się społecznym nadzorem nad realizacją polityki mieszkaniowej oraz prawidłowością planów zagospodarowania przestrzennego.

Postulaty ekonomiczne i społeczne przeniknęły również do politycznej części programu NSZZ Solidarność. Na przykład pojawia się w niej postulat oparcia przyszłej samorządności politycznej na samorządności pracowniczej. Można to uznać za pewne nawiązanie do tradycji rewolucyjnej, anarchosyndykalistycznej.

Związek w programie „Samorządna Rzeczpospolita" dużą wagę przywiązywał do wewnętrznej demokracji, poszanowania zdania mniejszości oraz prawa każdego członka organizacji do krytyki jej władz.

„Samorządna Rzeczpospolita" była zbiorem bardzo rewolucyjnych postulatów, o wiele bardziej prospołecznych niż propozycje władz, i krytyką polityki państwa z lewej strony. Pomimo kilkakrotnych odwołań do chrześcijaństwa oraz encyklik Jana Pawła II, program w swojej treści stanowił lewicową odpowiedź na działania PZPR.

Program „Samorządnej Rzeczpospolitej" obowiązywał bardzo krótko. Po 13 grudnia 1981 roku i wprowadzeniu stanu wojennego, tak zwana I Solidarność została rozbita. Większość struktur zakładowych rozpadła się, a postulaty ekonomiczne odeszły w niepamięć.

Odrodzenie Solidarności rozpoczęło się na fali strajków w sierpniu 1988 roku, kiedy to głównie górnicy i hutnicy zaczęli domagać się ponownej legalizacji związku. Działo się to w momencie, gdy pod koniec lat 80 skutki kryzysu ekonomicznego stawały się coraz bardziej dotkliwe. Dlatego postulatom politycznym towarzyszyły między innymi płacowe czy dotyczące poprawy zaopatrzenia w sklepach. Solidarność z końca lat 80 była już jednak innym ruchem, opartym nie o struktury pracownicze, lecz polityczne. Kluczowe znaczenie uzyskali liderzy tacy jak Lech Wałęsa oraz ich doradcy ekonomiczni, często będący już pod wpływem ideologii wolnorynkowej. Zarówno oni, jak i przedstawiciele władz, zdawali się wówczas akceptować neoliberalne dogmaty. W grudniu 1988 roku została uchwalona tzw. „Ustawa Wilczka", skrajnie deregulująca gospodarkę. O spełnieniu postulatów samorządności pracowniczej nie było już wówczas mowy. Temat ten nie pojawił się podczas obrad okrągłego stołu. Nawet współautorzy koncepcji „Samorządnej Rzeczpospolitej", tacy jak Bronisław Geremek, przestali się do niej przyznawać.

Zalegalizowana po porozumieniach Okrągłego Stołu z 3 kwietnia 1989 roku Solidarność, była ruchem politycznym, który za cel postawił sobie zdobycie mandatów w pierwszych częściowo wolnych wyborach parlamentarnych. Tak zaczęła się degeneracja związku i stopniowe odchodzenie od prospołecznych postulatów. NSZZ Solidarność roztoczyła na kolejne lata parasol ochronny nad nowymi władzami. W okresie przejściowym, gdy wprowadzane były pierwsze reformy tzw. Planu Balcerowicza, powstrzymywała ludzi przed protestami i promowała rządową propagandę o konieczności „zaciskania pasa". Działała tym samym wbrew swemu wcześniejszemu programowi.

Musiało to doprowadzić w końcu do społecznego wybuchu, i w roku 1992 miały miejsce pierwsze bardziej masowe protesty rolników oraz hutników przeciwko nowej „demokratycznej" władzy. Co ciekawe wybuchały one często wbrew stanowisku władz NSZZ Solidarność.

Przemiana Solidarności i droga, jaką przeszła między rokiem 1980 a 1989, to jeden z najbardziej wyraźnych przykładów zdrady interesów ludzi pracy, tego jak prospołeczne postulaty doprowadziły do realizacji antyspołecznej polityki, sprzecznej z intencjami ogromnej większości ludzi pracy walczących o zmiany.

Historia strajków z lat 80 pokazuje również, że gdy pracownicy występowali radykalnie, ze zdecydowanymi żądaniami ekonomicznymi, byli w stanie wywalczyć poprawę swojej sytuacji. W momencie, w którym w latach 1988-1989 NSZZ Solidarność skupił się na postulatach politycznych oraz łagodził formy protestu rozpoczął się upadek ruchu pracowniczego w Polsce. Politycy nie tylko nie byli w stanie zapewnić realizacji robotniczych żądań, ale wręcz sprzeniewierzyli się swoim wcześniejszym obietnicom. Opanowana przez doradców politycznych Solidarności „Gazeta Wyborcza" i inne media tworzone w zamyśle jako głos ludzi pracy, bardzo szybko stały się tubami kapitalistycznej propagandy.

Piotr Ciszewski jest działaczem lokatorskim, publicystą, członkiem Lewicowej Alternatywy.

Artykuł ukazał się w ABC Kapitalizmu. Zeszyt drugi. balcerowicz.com

REWOLUCJA NIE BĘDZIE DOTOWANA!

NGOsy w świetle społecznego oporu

Maria Burza

Stowarzyszenia, fundacje, czyli instytucje tzw. trzeciego sektora, społeczeństwo obywatelskie, NGOsy interesują mnie jako przykład zarządzania oporem. Chodzi o przekształcanie społecznie wspieranych, nieformalnych metod samo-organizacji, które kształtują się w konfrontacji z władzą i dążą do zniesienia nierówności, w coś, co wytwarza, jak to ujął jeden z wielkich magnatów, Andrew Carnegie, „harmonię między pałacem milionera, a chatą chłopa".

Działając w grupie nieformalnej - Syrenie – zauważam że nasza wyobraźnia dotycząca metod organizowania się podlega ciągłej presji – wzorce, którę są nam dzisiaj powszechnie sugerowane to wzorce partii politycznych, okrągłych stołów czy NGOsów, a nie np. strajków, rewolt i powstań ludowych: Sierpnia 1980, Wybrzeża 1970, Poznania 1956, itp. Fakt ten jest o tyle godny zastanowienia, że przecież wzorce z owej domeny „społeczeństwa obywatelskiego" nigdy nie były skuteczniejsze od oddolnych zrywów społecznych. Więcej – te obywatelskie negocjacje itp. nie zaistniałyby bez „nieobywatelskich" strajków.

Przez zarządzanie oporem rozumiem zarządzanie wyobraźnią o strategiach oporu- jak budować ruch, zacieśniać więzi solidarności, jak uczyć się z jednej akcji na drugą, poszerzać pole krytyki, eskalować mądrze konflikt. To, że dziś za wzorce mamy społeczeństwo obywatelskie to skutek sporych, historycznych starań ucywilizowania oporu. Kieruję się następującą refleksją: Tam, gdzie ruchy społeczne dążyły do wyrównania przepaści w bogactwie, tam oprócz twardych represji, władze starały się otoczyć pieczą opór społeczny, narzucając własną – mniej groźną – wersję zbliżenia biednych do bogatych poprzez filantropię i kontrolowane dotowanie. Nasz kraj stał się przykładem takich skutecznie wdrażanych miękkich strategii władzy po 1989 roku.

Kiełki wolności

W okresie ostrej transformacji wolnorynkowej w Polsce, światowe fundacje, agencje i państwa, rozszerzając swe wpływy na nowe peryferia kapitalizmu, inwestowały gotówkę w każdą sferę życia społecznego w naszym kraju. Za przykład weźmy program władz USA. Amerykański fundusz na rzecz rozwoju kapitalizmu w Polsce był zatwierdzony po wizycie Busha seniora w 1989 roku i dosłownie miał na celu zasiać wolny rynek na naszych terenach – został nazwany „Aktem Ziarno" (the SEED act – *Support Eastern European Democracy Act*). Dotacjami i zasobami władz USA zarządzała u nas w kraju USAID, czyli rządowa agencja międzynarodowego rozwoju, często we współpracy z prywatnymi amerykańskimi fundacjami, takimi jak np. Fundacja Forda, Sorosa, braci Rockefeller, a także z Bankiem Światowym i MFW.

USAID doradzała m.in. Ministerstwu Przekształceń Własnościowych w planach krajowej prywatyzacji, wspierała rozwój rynku nieruchomości i stworzenie ustawy o prawach autorskich, forsowała powstanie prywatnych funduszy inwestycyjnych . Sponsorowała ponadto przekształcenia wydziałów ekonomicznych np. na Uniwersytecie Warszawskim. Wpływała na zmianę ustawodawstwa na bardziej sprzyjające biznesowi oraz kształtowała programy szkolenia sędziów, prokuratorów, adwokatów i wykładowców szkół prawniczych; opiniowała projekty ustaw np. mieszkaniowej, zmiany Konstytucji; wspierała powstanie neoliberalnych think-tanków, szkolenia dziennikarzy, opracowanie polityki i strategii NBP itd.

Jednak dotacje i zagraniczny know-how miały także za zadanie „ucywilizować" gniew i potencjał samoorganizacji, którą wyzwoliła w ludziach Solidarność. Między 1989 a 1999 rokiem, USAID otaczała pieczą młode organizacje demokratyczne- w szczególności feministyczne i ekologiczne. Nowych liderów wysyłała na sponsorowane staże zagranicą, umożliwiała publikacje, organizowała konferencje, sprowadzała ekspertów, pomagała zdobyć odpowiednią literaturę, wykształcić język i cele organizacji. Dotowała te gałęzie Solidarności, które skupiały się na indywidualnych poradach prawnych dla pracowników. Szkoliła polską policję w dziedzinie „walki z przestępczością i w technikach przesłuchań".

Normalizowanie transformacji

Transformacja to niełatwe zadanie. Ludzie, którym udało się obalić totalizującą władzę, stawiając sobie jako cel samorządy i kontrolę pracowników nad produkcją, musieli dostosować się do modelu pracy na rzecz prywatnego kapitału. Musieli odłożyć na bok strategie samo-organizacji i nauczyć się zaciskać zęby (i pas!) póki ich rzeczywistość wciąż przypominała koszmar, a nie „American dream". W 1990 roku 10% gospodarstw domowych znajdowało się na granicy ubóstwa, w 1991-25%, w 1992-39% . I ludzie dawali wyraz swojej męce: w 1992 roku miało miejsce 6,351 strajków, łącznie ponad 1,855 straconych dni roboczych . W tych latach dramatycznie wzrosła też przestępczość zorganizowana: w 1993 r. co 1,5 minuty włamywacze składali wizytę w prywatnych mieszkaniach (co 11 minut w obiektach publicznych), co 14 minut ginął samochód. W 1992 r. podłożono 1.852 ładunki wybuchowe, w 1993 r.: – 1.881.

Przy takich zagrożeniach, wielkie starania były więc wkładane w tłumienie niepokojów i normalizację okresu transformacji. Przyjęcie ostrego kursu na kapitalizm elity starego i nowego systemu ujęły jako naturalny skutek rozwoju, wręcz bezpośredni efekt walk społecznych z poprzednich lat. Kluczowe w tym celu stało się wytyczenie linii ewolucyjnej od ruchu Solidarności do idei „społeczeństwa obywatelskiego", od związków i ruchów pracowniczych, do organizacji pozarządowych. W 1995 r., zorganizowano seminarium w polskim senacie, pod tytułem, „Budowa społeczeństwa obywatelskiego, rola organizacji pozarządowych". W raporcie z tego spotkania znaleźć można m.in wypowiedź Adama Struzika, dzisiejszego marszałka województwa mazowieckiego. Społeczeństwo obywatelskie, przekonuje Struzik, „zrodziło się z ducha rewolucji francuskiej."

Uczestnicy seminarium w konkluzjach jednak zaznaczali, że „społeczeństwo obywatelskie" wykuwało się w latach 70-tych w środowisku dysydentów w Polsce, w kontrze do władzy totalitarnej. Dziś jednak, nie ma już potrzeby przyjmować takiej pozycji. W zamian to organizacje pozarządowe mają zadanie współdziałać z władzami i wypełniać lukę po naturalnie kurczącej się roli państwa w sferze opieki społecznej.

Podczas konferencji, warsztatów, seminariów, wymian studyjnych i wielu publikacji sponsorowanych przez światowe fundacje w latach 90., kładziono nacisk na rzeźbienie „postaw obywatelskich", gdzie samoorganizacja i walka o cokolwiek miały logicznie prowadzić do rejestracji organizacji pozarządowej lub partii politycznej. Nie-obywatelskie taktyki, jak oddolne budowanie więzi w walce z wyzyskiem, przyklejono do obrazu starego systemu. W nowym systemie, miały one ustąpić miejsca obywatelskim zachowaniom, takim jak okrągłe stoły, konsultacje, wcielanie się w rolę tzw. watchdoga, pisanie petycji, itd.

Nowi obywatele w służbie miękkiej władzy

„Dziś, 25 proc. Polaków jest związanych z organizacjami pozarządowymi, podczas gdy przynależność do związków zawodowych jest na poziomie 7 proc" - chwalił się w 1999 r. Jakub Wygnański, cytowany w raporcie USAID, pozując do zdjęcia „w budynku przy ulicy Szpitalnej, w pokoju gdzie wcześniej Solidarność odbywała swoje pierwsze spotkania. Teraz mieści się tu grupa organizacji pozarządowych, z których wiele uzyskało wsparcie od USAID".

Dziś w Polsce istnieje ponad 80 tys. stowarzyszeń i fundacji. W latach 2006-2009 powstawało tu codziennie ponad dziesięć nowych organizacji pozarządowych. Według danych z 2012 roku, członkowie i władze regularnie pracują bez wynagrodzenia w 94 proc. spośród tych organizacji .

Jednak w kapitalistycznych realiach, z natury, rozwarstwienie społeczne się powiększa. W 2011 r. w Polsce mieszkało aż 50 tys. milionerów, a według firmy Deloitte, na 192 państwa świata Polska obecnie zajmuje pod tym względem 25 miejsce. Jednocześnie, w tym samym kraju, wg raportu NIK ponad 6 milionów ludzi żyje w nędzy mieszkaniowej, jesteśmy europejskim liderem w liczbie emigrantów, a także głodnych dzieci, i to mimo popularnej akcji „Pajacyk" prowadzonej od 1998 roku przez Polską Akcję Humanitarną, dzięki której wydano już 10 milionów posiłków.

Nie twierdzę, że ci woluntariusze nie wkładają ogromnego wysiłku, który pomaga ludziom przeżyć w ciężkich czasach wyzysku. Programy przetrwania są kluczowe, o ile mamy dożyć lepszych warunków życia. Dlatego historycznie w ruchach oporu, programy przetrwania miały nierozłączną partnerkę w drugiej części ruchu, która prowadziła działalność wywrotową, dążąc do wykorzenienia systemu rosnących przepaści społecznych.

Z perspektywy władzy, miękkie strategie po prostu się bardziej opłacają. W przeglądzie 20 ostatnich lat swojej działalności w naszym regionie USAID wylicza, że wydatki na zbrojenia z budżetu władz amerykańskich, w okresie 1948-1986 pochłoneły 6,3 biliona dolarów, czyli około 163 miliardy dolarów rocznie . Strategicznie inwestowana filantropia natomiast w latach 1990-2012 kosztowała łącznie 20 miliardów dolarów, czyli około 900 milionów rocznie.

Naszym zadaniem jest rozpracowanie historii strategii miękkiej władzy nad społecznym oporem. Istnieje obecnie w Polsce i na świecie wiele sił z ogromnym zapleczem finansowym, które pragną przywrócić urok stosunków wręcz poddańczych. Już dziś ledwo połowa pracowników w Polsce może liczyć na wypłatę na czas, powszechne stają się napędzane (re)prywatyzacją rugi chłopskie i miejskie. Tej tendencji do tej pory nie powstrzymały praworządne organizacje społeczeństwa obywatelskiego. W miarę jak coraz mniej jest ziemi i pieniędzy do zagrabienia, elity imają się coraz bardziej brutalnych form osiągania zysku. Zarazem, istnieje ogromny dorobek w historii ruchów wyzwoleńczych, na który możemy powoływać się w praktyce naszych działań bez potrzeby rejestracji kolejnego NGO.

Źródło Ewa Zielińska/Google+

Maria Burza – Kolektyw Syrena

Skrót artykułu, który ukazał się w broszurce „ABC kapitalizmu – zeszyt drugi" – do ściągnięcia i zamówienia w formie papierowej na stronie internetowej: balcerowicz.com

NOAM CHOMSKY o przygotowaniach do nowego systemu

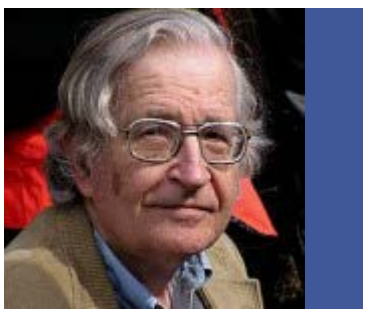

Filozof, językoznawca i krytyk społeczny Noam Chomsky rozmawiał o jego doświadczeniach związanych z aktywizmem w miasteczkach uniwersyteckich oraz wizji sprawiedliwego społeczeństwa. Pretekstem do rozmowy była inauguracja ambitnej inicjatywy Next System Project polegającej na organizowaniu w USA krytycznych debat będących rodzajem protestów (teach-in). Jako sygnatariusz deklaracji Next System Project Chomsky opowiada o relacjach kultury, ruchów społecznych i eksperymentów gospodarczych, których „odpowiednie skorelowanie" może pomóc zbudować podstawy nowego systemu szybciej niż się wydaje.

Next System Project (NSP): W ramach Next System Project organizowane są dziesiątki krytycznych debat w kampusach w całym kraju. Jakie jest pana zdanie o takim podejściu do zaangażowania społeczności studenckich w proces głębokiej i krytycznej refleksji. Czy pomogą one zmienić nasze społeczeństwo?

Noam Chomsky: Posłużę się przykładem z własnego doświadczenia. Pracuję w Instytucie Technologicznym w Massachusetts (MIT) od 65 lat. Kiedy tam przyjechałem, kampus był bardzo cichy i bierny: sami biali mężczyźni, elegancko ubrani, układni, zawsze przygotowani i tak dalej. Tak było przez prawie całe lata 60-te poprzedniego wieku, przez cały ten burzliwy okres. Byli ludzie, którzy się angażowali, ale bez przesady. Były akcje na rzecz pokoju i sprawiedliwości, ale rzadko z inicjatywy studentów.

Właściwie kampus w ogóle nie był politycznie zaangażowany. Kiedy w 1968 roku administracja Lyndona Johnsona przymierzała się do powolnego wycofywania się z wojny w Wietnamie, postanowiła pojednać się ze studentami. Wyznaczyli do tego zadania najmniej odpowiednią osobę, byłego harvardzkiego dziekana, McGeorge'a Bundy'ego, który niby wiedział, jak rozmawiać ze studentami. No i odwiedzał kampusy i wszyscy mieliśmy się jednać. Na początek wybrali bardzo bezpieczne miejsca. MIT był drugi na liście, ale to był błąd. Pojawiło się bowiem kilkoro zaangażowanych i zorganizowanych studentów. Kiedy przysłali Bundy'ego, wkurzony tłum studentów otoczył go i żądał wyjaśnień, dlaczego angażował się w tak skandaliczne sprawy. No i tak zakończyło się pojednanie.

Już wtedy mała grupa studentów skutecznie organizowała kampus wokół kilku spraw, którymi wtedy wszyscy żyliśmy. Coraz głośniej mówiło się o wojnie w Wietnamie, rasizmie i początkach ruchu kobiecego. W kilka lat kampus MIT stał się prawdopodobnie najbardziej zaangażowany i radykalny w całych Stanach. Mike Albert, jeden z ówczesnych liderów, został wybrany na przewodniczącego samorządu studentów, głosząc tak radykalne poglądy, że trudno było w to uwierzyć. Ogólnie kampus przeszedł wtedy ogromne zmiany – w zakresie kultury i organizacji.

Po raz pierwszy podjęto poważną dyskusję na temat etycznego wymiaru rozwoju technologicznego, która toczy się po dziś dzień. Dosłownie kilka minut temu dyskutowałem o tym ze studentami, tak jak robi się to w serwisie Reddit. Wtedy studenci zaczęli poruszać wiele kwestii, co na początku lat 60-tych było nie do pomyślenia. Podobne zmiany zachodziły we wszystkich miasteczkach uniwersyteckich. Zmieniała się kultura i całe społeczeństwo. Przez ostatnie lata znaczny postęp widzieliśmy właśnie w zakresie spraw społecznych i kulturowych, natomiast poważnemu regresowi uległy polityka i ekonomia. Nie tyle nie udało nam się zmniejszyć podziałów klasowych i poprawić głównych instytucji publicznych, co obserwujemy zmiany na gorsze. Są też istotne zmiany na lepsze: pozytywny stosunek do praw kobiet i praw obywatelskich, sprzeciw wobec agresji, troska o środowisko naturalne to kroki w dobrym kierunku. Duża w tym zasługa aktywistek i aktywistów na uniwersytetach, których udział w zmianach społecznych był i jest ważny.

To zrozumiałe i nie ogranicza się do amerykańskiego kontekstu. Studia to wolność, niedostępna na innych etapach życia. Nie kontrolują nas rodzice. Przeważnie nie musimy jeszcze przejmować się zarabianiem na życie, często na poniżających warunkach. Możemy poznawać świat, tworzyć, działać i organizować się. Aktywizm na uniwersytetach odegrał w ostatnich latach fundamentalną rolę w inicjowaniu i napędzaniu istotnych zmian społecznych. Nie widzę powodów, by teraz miało być inaczej.

NSP: Dlaczego akurat teraz powinniśmy rozmawiać o regresie polityki i ekonomii w naszym społeczeństwie? Dokąd taka dyskusja ma nas zaprowadzić?

Noam Chomsky: Odpowiedź na te pytania wymaga nakreślenia szerszego tła. Obecna sytuacja pod wieloma względami różni się od wielkiego kryzysu z lat 30-tych XX wieku. Mam swoje lata i dobrze pamiętam. Obiektywnie patrząc, było znacznie gorzej niż teraz. Ale subiektywnie można powiedzieć, że było lepiej. Był to bowiem okres nadziei dla całej mojej rodziny, głównie bezrobotnej, robotniczej, niewykształconej – często bez dyplomu ukończenia szkoły średniej. Byliśmy jednak zaangażowani, zorganizowani i optymistyczni. Pamiętam burzliwe strajki. Na początku akcje Kongresu Związków Zawodowych (CIO) były brutalnie pacyfikowane, ale w połowie lat 30-tych strajki nabierały znaczenia. Kongres był dobrze zorganizowany. Strajki okupacyjne poważnie ograniczały kapitalistom możliwość kontrolowania środków produkcji i to przemawiało do nich. Ówczesna administracja była całkiem życzliwa dla robotników. Chociaż działały wtedy różne partie polityczne, to właśnie związki zawodowe dawały ludziom nie tylko możliwość zaangażowania się, lecz również poczucie solidarności, wzajemnego wsparcia i wymiany idei. Dawały ludziom nadzieję, że wkrótce będzie lepiej – bez względu na to, jak źle jest tu i teraz.

Zdobycze było wiele. Nowy Ład dał ludziom bardzo wiele – nie wszystko było idealne, ale życie naprawdę uległo poprawie. Pod koniec lat 30-tych biznes już przechodził do ofensywy, ponieważ był przyzwyczajony do władzy. Udało się ją zahamować podczas wojny i właściwie pełną parą ruszyła dopiero po jej zakończeniu. Jej celem było zniszczenie radykalnej demokracji, której uczyliśmy się podczas wielkiego kryzysu i wojny. Ten trend nie dotyczył tylko Stanów Zjednoczonych, ale całego świata. Ta ofensywa nadal trwa.

Aktywizm rozkwitał w latach 60-tych, a opór i reakcja rosły w latach 70-tych, co wieńczył szczególnie trudny okres prezydentury Ronalda Reagana, którego neoliberalna polityka siała spustoszenie nie tylko u nas, ale gdziekolwiek i pod jakąkolwiek postacią postanowiono ją realizować. W Stanach neoliberalizm psuł demokrację i podważał politykę społeczną, która większości ludzi miała dać szansę awansu. To dotyczy praktycznie wszystkiego. Weźmy płace realne mężczyzn. Obecnie są mnie więcej na takim samym poziomie jak w latach 60-tych. Odnotowano istotny wzrost płac realnych – nie tak silny jak w poprzednich latach, ale ciągle znaczący – ale napycha kieszenie bardzo małej grupie.

Od ostatniego kryzysu finansowego w 2008 r., około 90% wypracowanego wzrostu gospodarczego ląduje w kieszeniach 1% populacji. System polityczny nigdy nie był wrażliwy na nastroje wśród mas, ale obecnie zaczyna on przypominać plutokrację. Badania pokazują, że około 70% społeczeństwa nie ma reprezentacji, a ci którzy ich reprezentują nie liczą się z ich zdaniem.

Kilka lat temu ktoś zauważył, że społeczno-ekonomiczna sytuacja grup, które nie głosują w USA przypomina grupy, które w innych krajach, choćby w Europie, głosują na partie propracownicze i socjaldemokratyczne, których w Stanach nie ma. Mamy natomiast partie, które geograficznie wywodzą się wprost z wojny secesyjnej, kierujące się interesem biznesu, a nie interesem klasowym. Problem z klasą polityczną ciągle rośnie. Przyczynia się do niebezpiecznej sytuacji, w której coraz więcej ludzi jest wkurzonych i zmarginalizowanych. Jest inaczej niż w latach 30-tych, ponieważ brakuje nadziei, którą razem z solidarnością zastąpiła izolacja, gniew, strach i nienawiść – łatwy cel dla demagogów, czego przykładów widzimy dziś coraz więcej. Znaleźliśmy się w niebezpiecznej sytuacji, z której ciągle jest wyjście i to właśnie studentki i studenci mają możliwości je znaleźć, zmieniając powiązane ze sobą instytucje publiczne, gospodarcze i polityczne w tym kraju.

Istnieją zagrożenia, których nie da się tak po prostu zażegnać. Ludzkość jest w momencie, kiedy musi podjąć decyzje mające wpływ na to, czy przetrwanie na przyzwoitym poziome w ogóle jest możliwe. Katastrofa klimatyczna, konflikty zbrojne, czy pandemie to bardzo poważne wyzwania, z którymi obecne instytucje sobie nie radzą. To już właściwie fakt. Muszą zajść istotne zmiany podobne do tych w latach 30-tych ubiegłego wieku, ale nie będzie ich bez naprawdę skutecznych masowych ruchów społecznych.

NSP: Niedawne badanie wśród osób od 18 do 26 roku życia pokazało, że 58% ankietowanych uważa, że socjalizm „jest najbardziej opiekuńczym politycznym systemem", a 6% wskazało na komunizm. Wydaje się, że mamy rosnące zainteresowanie socjalizmem wśród młodych ludzi, choć chyba ciągle trudno powiedzieć, co to oznacza. Czy to dobry moment, by roztrząsać kwestie własności, władzy oraz zasad organizacji, które pozwalają zbudować wspólnotę, zrównoważony rozwój i pokój? Czy może to debata ciągle zbyt akademicka, skoro projekt polityczny z prawdziwego zdarzenia, który miałby oparcie w masach to ciągle pieśń przyszłości?

Noam Chomsky: Ja nie jestem taki pewny, czy przyszłości. Spójrzmy na ostatni kryzys gospodarczy. Jedną z konsekwencji było przejęcie przez rząd praktycznie pełnej kontroli nad przemysłem samochodowym. Mieli kilka rozwiązań. Zdecydowali się opodatkować płace, wykupić właścicieli i kierowników, by następnie system mógł pracować tak samo jak przed kryzysem. Może i pojawiły się nowe nazwiska, ale ta sama nietknięta struktura miała nadal robić to samo – samochody. Ale mogli przecież przekazać władzę pracownicom i pracownikom, wprowadzić demokratyczny system kontroli i zarządzania oraz dostosować produkcję do potrzeb społeczności. Nie potrzebujemy więcej samochodów. Potrzebujemy efektywnego systemu komunikacji zbiorowej – z wielu powodów. Z Pekinu do Kazachstanu kursuje już szybka kolej, ale z Bostonu do Nowego Jork jeszcze nie. Infrastruktura jest w ruinie i potwornie szkodzi środowisku. Ludzie spędzają pół swojego życia w korkach. To bolączka wolnego rynku, który daje konsumentom wybór między fordem a toyotą. Nie daje jednak wyboru między samochodem a dobrym transportem publicznym.

Rozwiązania, o których wspomniałem oddziaływają na wspólnoty, ruchy demokratyczne, organizacje czy poczucie solidarności. Alternatywne rozwiązania były możliwe jeszcze kilka lat temu, kiedy mieliśmy inne nastroje społeczne. Moim zdaniem rząd miał je w zasięgu ręki. Dowodów nie muszę szukać daleko, bo miałem je niedaleko swojego domu na przedmieściach Bostonu. Działała tam całkiem dobry zakład produkujący części do samolotów. Korporacja, która była jej właścicielem uznała jednak, że przynosiła zbyt niski zysk i postanowiła ją zamknąć. Progresywny związek zawodowy chciał zakład odkupić, co opłacało się korporacji, ale chyba głównie z powodów klasowych odrzucili tę propozycję. Jeśli wtedy społeczeństwo wspierałoby tę inicjatywę, to przejęcie zakładu doszłoby do skutku i mielibyśmy prosperujący biznes w rękach pracowników. Takich przykładów jest więcej.

Uważam, że to wcale nie jest pieśń przyszłości. Od alternatywnych rozwiązań dzieli nas cienka warstwa pozorów naszej świadomości. Trzeba je uwolnić, co zresztą już się dzieje. Pamiętajmy o tym, że obecny system polityczno-ekonomiczny pod wieloma względami nie reaguje na postawy obywatelek i obywateli. Ciągle nam o tym przypominają. Weźmy choćby Berniego Sandersa, którego poglądy uchodzą za radykalne czy nawet ekstremistyczne. Jeśli się im jednak przyjrzymy, okazuje się, że odzwierciedlają od dawna wyrażaną wolę społeczeństwa. Weźmy państwową służbę zdrowia. Obecnie około 60% ludzi popiera takie rozwiązanie, co jest zaskakujące, zważywszy że jego zwolenników w debacie publicznej praktycznie brak, a wszyscy ciągle je demonizują. Ale historia pokazuje, że ludzie są konsekwentni. Pod koniec prezydentury Reagana około 70% społeczeństwa uważało, że państwowa służba zdrowia powinna być wpisana do konstytucji, jako podstawowe prawo, a co ciekawe 40% było przekonane, że taki zapis już w niej jest.

To jest właśnie konsekwencja. Powszechną służbę zdrowia uważa się za politycznie niemożliwą tylko dlatego, że instytucje finansowe i korporacje farmaceutyczne są jej przeciwne. To z kolei mówi nam wiele na temat naszego

Fot. Flickr.com – Robert Morab

społeczeństwa, ale nie jego woli. Inne sprawy mają się podobnie: społeczeństwo ma od dawna podobne poglądy na temat darmowych studiów czy wyższych podatków dla bogatych, ale rozwiązania polityczne idą w przeciwnym kierunku. Jeśli tylko udałoby się zorganizować i zmobilizować społeczeństwo, wespół z organizacjami nauczonymi współpracy i solidarności, takimi jak związki zawodowe, to moim zdaniem pozorów nie dałoby się dłużej zachować, a alternatywne rozwiązania mogłyby zyskać poparcie i być wprowadzane w życie.

NSP: Jeśli mamy rozmawiać o własności i demokracji w gospodarce, jakie idee lub modele będą nam pomocne? Czy mamy skupić się na pracownikach? Czy może społecznościach? Czy gospodarka powinna działać w oparciu o zasadę subsydiarności? A co z przemysłem ciężkim? Czy według pana powinniśmy czerpać z różnych rozwiązań, brać pod uwagę cele i interesy różnych instytucji, aby stworzyć strategię dla całego kraju?

Noam Chomsky: Jestem zdania, że wszystkie postępowe inicjatywy powinny być podejmowane nie tyle równolegle, co we współpracy, ponieważ to by je tylko wzmocniło. Jeśli mamy zakład, w którym pracownicy są właścicielami i kierownikami, i który znajduje się w społeczności, która stworzyła powszechny budżet i prawdziwie demokratyczne procedury, to wszystkie te rozwiązania wzmacniają się nawzajem i przez to mogą być kopiowane w innych miejscach. I to w bardzo szybkim tempie. Mój przykład z przemieści Bostonu mógłby być powielany w całych Stanach. Ludzie tacy jak David Ellerman pracują nad takimi rozwiązaniami od lat. Co róż jakaś korporacja międzynarodowa postanowi zamknąć zakład, w którym pracownicy są zadowoleni, a praca przynosi zyski, ale dla niej są zbyt niskie. Często pracownicy organizują się, by przejąć zakład i udaje im się. Niekiedy jednak nie udaje się, choć zakład w rękach pracowników dawałby zysk nieporównywalny do zamknięcia. Biznes ma powody, by takie zmiany blokować – dobrze wie, że takie przejęcia mogłyby pojawić się w innych miejscach.

Na świecie funkcjonują sprawne modele biznesowe tego typu, jak choćby spółdzielnia Mondragon. Nie są doskonałe, ale skoro udało się w Kraju Basków, czemu miałoby się nie udać po drugiej stronie Atlantyku. Ludzie tego chcą. Do przemyślenia jest idea pracy najemnej. Często się o tym zapomina, ale w trakcie rewolucji przemysłowej, pod koniec XIX wieku, praca najemna była właściwie tożsama z niewolnictwem. Różnica polegała na tym, że praca najemna była tymczasowa. Nawet Partia Republikańska sprzeciwiała się niewolnictwu najemnemu. Dlaczego jedni mieliby rozkazywać innym? To jest relacja pana i niewolnika, nawet jeśli jest tymczasowa.

Ruch robotniczy w XIX wieku był reprezentowany przez media. Robotnicy i robotnice mieli swoje gazety, prowadzili je i pisali dla swoich. Wiele z nich to były właśnie kobiety – dziewczyny z fabryk włókienniczych. Prowadzono nieprzerwany atak na pracę najemną. Głoszono hasła: „Pracownicy zakładów powinni zostać właścicielami". Sprzeciwiano się narzuconej siłą industrializacji społeczeństwa, która całkowicie niszczyła kulturę. Podejmowano próby, by połączyć siły z radykalnym ruchem agrarnym. Wtedy mieliśmy społeczeństwo rolnicze, a rolnicy chciały pozbyć się bankierów i kupców z północnego wschodu i dalej robić swoje. To był radykalnie demokratyczny moment w historii. Robotnicy zarządzali całymi miastami, jak choćby centrum przemysłowe Homestead, w Pensylwanii. Wiele z takich przyczółków zostało zniszczonych siłą, ale powtórzę – pozorów nie da się dłużej zachować, te rozwiązania są na wyciągnięcie ręki i znowu mogą wziąć górę.

NSP: Jednym z pana głównych zainteresowań jest imperializm. Na jakich podstawach powinniśmy budować społeczeństwo, które odrzuca militaryzm i imperializm? Jaka instytucjonalną strukturę powinny mieć społeczności, gospodarka, system polityczny?

Noam Chomsky: Zasadniczo odpowiedź na te pytania sprowadza się do kwestii solidarności. Międzynarodowej solidarności. Dobrym przykładem jest tak zwany kryzys migracyjny. Ludzie w Meksyku i Ameryce Centralnej migrują do Stanów. Dlaczego? Ponieważ zniszczyliśmy ich społeczeństwa. Oni wcale nie chcą żyć u nas. Chcą mieć dom. Powinniśmy okazać im solidarność i przede wszystkim pozwolić im migrować, jeśli w ten sposób mogą uchronić się przed warunkami, które przez nas panują w ich krajach. Ale powinniśmy też pomóc im odbudować ich własne społeczeństwa. Tak samo jest w Europie. Ludzie z Afryki migrują do Europy. Dlaczego? Kilka ostatnich wieków dostarcza wiele odpowiedzi na to pytanie. Europa ponosi odpowiedzialność i powinna przyjmować, integrować migrantów oraz pomagać w odbudowie społeczeństw, które Europa zniszczyła, i na których zbudowała swoje bogactwo.

My też jesteśmy odpowiedzialni. Nasze bogactwo i przywileje w dużej mierze zawdzięczamy niewolnictwu – najbardziej masowemu i brutalnemu zniewoleniu ludzi w historii. Bawełna była XIX-wieczną ropą naftową. Napędzała wczesną rewolucję przemysłową, a za bogactwem Stanów Zjednoczonych, Anglii i innych krajów stały przede wszystkim przerażające obozy pracy niewolniczej w Ameryce Północnej, gdzie stosowano brutalne tortury w celu zwiększenia produktywności, co z kolei napychało kieszenie kapitalistom. Pierwsze zakłady były właśnie zakładami włókienniczymi. Do rozwoju systemu finansowego przyczynili się kupcy i handlarze tekstyliów. Echo tamtych czasów ciągle dobrze słychać. Wiele konkretnych problemów tego systemu to pochodne niszczącej siły imperializmu.

Jednym z przykładów jest Afryka. Pod koniec XIX wieku fragmenty Afryki Północnej były w takim stanie jak Japonia. Jedna rzecz je odróżniała. Japonia nie była skolonizowana, więc mogła naśladować model rozwoju państw uprzemysłowionych i stać się potęgą przemysłową. W Afryce Wschodniej proces ten zablokował imperializm. Dziś trudno w to uwierzyć, ale w 1820 roku Egipt był na poziomie Stanów Zjednoczonych. To były bogate społeczeństwa rolnicze. Miały pod dostatkiem bawełny – głównego surowca w tamtych czasach. Egipski rząd realizował model rozwoju gospodarczego podobny do amerykańskiego modelu autorstwa Alexandra Hamiltona. Różnica polegała na tym, że Stany Zjednoczone skruszyły okowy imperializmu, a Egipt nie. Brytyjczycy bardzo jasno dali do zrozumienia, że nie pozwolą na rozwój niezależnej konkurencji na wschodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego. Z czasem Egipt stał się tym dzisiejszym Egiptem. Stany Zjednoczone zostały Stanami. Tak wyglądała spora część historii nowożytnej, z pewnymi wyjątkami. Nie możemy o tym zapomnieć.

Na zbrodnie imperializmu należy odpowiedzieć uznaniem ich, zadośćuczynieniem i solidarnością wobec ofiar. Nie mówimy przecież o historii starożytnej. Weźmy na przykład tak zwany kryzys uchodźczy w Europie. Ludzie z Afganistanu i Iraku żyją w strasznych warunkach w obozach na terenie Grecji. Dlaczego akurat oni? Co takiego wydarzyło się w Afganistanie czy Iraku?

Przełożył Robert Reisigová-Kielawski

Dziękujemy redakcji The Next System Project za pozwolenie na publikację tego tłumaczenia

WILK I CZŁOWIEK

Fot. Flickr.com – Jamie Zeschke

Katarzyna Kotiuk

Tropienie wilków *(Canis lupus L.)* to emocjonująca przygoda, każdy kto miał okazję znaleźć ich ślady, wie o czym mówię. Podążanie tropami odciśniętymi w śniegu odtwarza nam przebieg ostatniego dnia lub nawet kilku dni z życia wilczej rodziny. W jakim celu chodzi się za wilkami, czego możemy się z tych wypraw dowiedzieć? Wszystko zależy od intencji tropiciela.

Przed 1998 rokiem, kiedy wilka objęto ochroną gatunkową w całym kraju, główną intencją tropicieli było upolowanie tego drapieżnika. Wilk nie mógł czuć się bezpiecznie. W latach 50-tych XX w. przeprowadzono tzw. „akcję wilczą", w czasie której dopuszczano stosowanie trucizn, wybieranie młodych z gniazd, a za każde ubite zwierzę wypłacano nagrody pieniężne. Oficjalnie uznawano go bowiem za szkodnika, który przynosi znaczne straty w pogłowiu zwierząt gospodarskich. Masowe tępienie wilka spowodowało znaczny spadek jego liczebności, ale też w kolejnych latach ożywioną dyskusję wokół zagrożeń, wynikających z braku przepisów regulujących status prawny gatunku.

Tropami wilków podążają także naukowcy i miłośnicy przyrody. Od 2000 roku prowadzona jest ich inwentaryzacja według metodyki dostosowanej do biologii gatunku. Dotychczasowe dane na temat liczebności wilka na terenie Polski pochodziły z inwentaryzacji łowieckich, które opierały się na sumowaniu liczby zwierząt stwierdzonych w poszczególnych nadleśnictwach. Badania w Beskidzie Śląskim i Żywieckim wykazały jednak, że terytorium pojedynczej watahy wykracza poza obszar konkretnego nadleśnictwa, zatem te same wilki były liczone podwójnie. Pierwszy rok inwentaryzacji przyniósł nieoczekiwane wyniki, według naukowców (z Instytutu Badania Ssaków PAN w Białowieży i Stowarzyszenia dla Natury WILK) było ich w Polsce o około połowę mniej, niż podawały to statystyki łowieckie. Dopiero po prawie 20 latach ochrony tego gatunku, liczebność jego populacji plasuje się na poziomie około 1000 osobników, czyli tyle, ile podawały tamtejsze statystyki łowieckie. Zwiększenie liczebności populacji wilczej nie oznacza czasów spokoju dla tego drapieżnika. Wręcz przeciwnie, zaczynają pojawiać się głosy, by wilka przywrócić na listę zwierząt łownych.

Skąd ta nienawiść w stosunku do wilka? Według myśliwych jest on konkurentem w walce o zwierzynę łowną. Fakt, głównym pokarmem wilka są bowiem dzikie ssaki kopytne, w szczególności jeleniowate. Jednakże w przeciwieństwie do myśliwych wilki wybierają jako ofiary osobniki słabe, chore, młode czy stare, czyli w praktyce te, które w przyrodzie same by nie przetrwały. Można powiedzieć, że wilk jest sanitariuszem leśnym, bo dzięki niemu w populacji ofiar pozostają osobniki posiadające dobre geny do przeżycia, dzięki którym tworzą silne populacje. Wszystkie publikacje, z którymi się zapoznałam podczas swoich badań, mówią jedno: wilk poprzez swoje drapieżnictwo na jeleniach i sarnach (jako głównych sprawcach szkód wśród młodników leśnych) chroni las przed ich nadmiernym żerowaniem, przyczyniając się do odnowienia jego struktury. Można śmiało powiedzieć, że zwierzę to jest sprzymierzeńcem leśników w ochronie lasu.

Poza myśliwymi wilk ma jeszcze jednego przeciwnika – hodowców zwierząt gospodarskich. Ze względu na wielką plastyczność przystosowań do warunków środowiska i umiejętność mądrego gospodarowania zasobami energii wilk wybiera najłatwiejsze rozwiązania. Takim jest upolowanie zwierzyny gospodarskiej, a jeśli raz uda mu się tego dokonać, zrobi to ponownie. Możemy się złościć na wilka i mu złorzeczyć, ale prawda jest taka, że koegzystując z tym drapieżnikiem musimy nauczyć się z nim żyć, szanując jego potrzeby i biologię gatunku. Wilk potrzebuje do życia wielkich przestrzeni i potrafi zajmować zarówno zwarte kompleksy leśne, jak i kompleksy leśno – polne, a w zachodniej Europie nawet miejsca zurbanizowane. Człowiek karczując lasy pod pola uprawne odebrał przestrzeń do życia dla przyrody. Nie dziwmy się zatem, że wilk po prostu chce przetrwać i korzysta z możliwości, które człowiek sam mu podsuwa. Są sposoby ochrony inwentarza domowego, i nie jest to broń palna, ale na przykład hodowla psów pasterskich czy grodzenie pastwisk.

Dużym problemem, z jakim borykają się wilki, jest fragmentacja kompleksów leśnych poprzez rozbudowującą się sieć dróg i autostrad. Na szczęście dzięki badaniom naukowym poznano sieć korytarzy migracyjnych zwierząt, w tym wilków, i dzięki temu możliwe było wybudowanie systemu przejść dla zwierząt, które są na bieżąco monitorowane, i wiele filmików, które są udostępniane w internecie dowodzi, że wilki chętnie korzystają z tego typu przejść. To dobra informacja, bo drapieżniki te potrafią przemierzyć dziesiątki kilometrów w poszukiwaniu bazy pokarmowej i miejsca do rozrodu, a fragmentacja środowiska jest poważną przeszkodą. Brak możliwości wędrówek uniemożliwiałby zwiększenie liczby ich populacji.

Bardzo dużym zagrożeniem dla populacji wilka w Polsce jest kłusownictwo. Mimo ochrony gatunkowej w nadleśnictwach istnieje ciche przyzwolenie na strzelanie do wilków. Zmowa milczenia panująca w małych społecznościach powoduje, że nie słyszymy o tym procederze na co dzień. Doniesienia o skłusowanych wilkach z ostatniej zimy z Wigierskiego Parku Narodowego i Bieszczad to tylko wierzchołek góry lodowej.

Wilk to zwierzę niezwykle rodzinne. Wilcza rodzina, zwana watahą, składająca się z 4 do 8 osobników, zajmuje terytorium, którego wielkość (według badań w Puszczy Białowieskiej) waha się w granicach 154 – 343 km^2 (Jędrzejewski i in. 2001). Sytuacja w górach przedstawia się nieco inaczej, tam wilki zajmują terytoria mniejsze: od około 82 do 227 km^2 (Śmietana i In. 1997; Pierużek-Nowak 2002). W stadzie wilków istnieje silna hierarchia: rozmnaża się tylko para alfa, a młodymi wilczkami opiekują się wszyscy członkowie watahy.

Największą ostoją tego gatunku są Karpaty, Roztocze oraz puszcze północno-wschodniej Polski. Wilki osiedliły się już także w lasach Polski zachodniej i zaczęły kolonizować obszary naszych zachodnich sąsiadów. Wciąż jednak monitoring ich populacji jest potrzebny, bo: „Wilk nadaje lasowi osobliwego uroku, a w oczach ludu nawet niebezpieczeństwa. Toteż gdy legnie ostatni z tych drapieżników, do reszty stracą nasze lasy aureolę byłych puszcz." (Bolesław Świętorzecki, 1926) Nie dopuśćmy do tego.

Powyżej: legowisko wilków Puszcza Augustowska, fot. Łukasz Ołdakowski. Poniżej: nieliniowy ciąg tropów wilków tzw. trot, Puszcza Augustowska, fot. Katarzyna Kotiuk

Katarzyna Kotiuk – biolożka, ekolożka, autorka badań nt. wilków w Puszczy Augustowskiej w latach 2004-2006, miłośniczka podążania za wilczymi tropami i poszukiwania wilczych kup.

EL PRAT DE LOBREGAT
zielone miasto z lotniskiem

Sergi Alegre Calero

El Prat de Llobregat znajduje się w sercu obszaru metropolitarnego Barcelony i delty rzeki Llobregat. Ta lokalizacja wyjaśnia główną cechę charakterystyczną miasta: wielosektorowe użycie jego terytorium. Niewiele miast na świecie, jeśli w ogóle jakiekolwiek, mieści międzynarodowe lotnisko i port, linię kolejową dla pociągów dużych prędkości, dworzec, dwie autostrady, największą infrastrukturę regulującą obieg wody (zakłady uzdatniania i odsalania wody itd.) i ...chronione obszary rolnicze, mokradła i plaże z Obszarami Specjalnej Ochrony (SPA), utworzonymi na mocy unijnej Dyrektywy w sprawie ochrony siedlisk naturalnych dzikiej fauny i flory.

Ta różnorodność sposobów wykorzystania, bogactwo terenu El Prat de Llobregat, stanowiły znakomitą pożywkę dla rozwoju zielonych idei, a więc również partii zielonych, które od lat siedemdziesiątych zdobywały większość głosów we wszystkich lokalnych wyborach, czasami rządząc miastem samodzielnie, a czasami z pomocą partii socjalistycznej.

Sukces miejskich i terytorialnych polityk w zakresie ochrony środowiska, planowania i zarządzania miał kluczowe znaczenie dla działań politycznych, w których centrum znajduje się obieg wodny, podejmowanych przez wszystkie te lata przez *Initiativa per Catalunya*. Powodem tego jest sytuacja, jaka zaistniała w 1979 roku: rzeka stała się czarna i pozbawiona jakiegokolwiek życia, z powodu wody napływającej z domów i fabryk; plaża była ostatnią plażą w Katalonii, na której obowiązywał zakaz kąpieli; mokradła niszczały bez żadnej opieki i ochrony; obszar rolniczy zmniejszał się na skutek prywatnych i publicznych projektów, a warstwa wodonośna ulegała zasoleniu i zbliżała się do szczytu możliwości poboru wody. Poza tym ogólny plan zagospodarowania przestrzennego obszaru metropolitalnego zakładał „przeniesienie" ostatnich czterech kilometrów rzeki o sześć kilometrów na południe, aby umożliwić rozbudowę portu.

Najważniejszym zadaniem była ochrona zasobów wód podziemnych, więc po pierwsze ogłosiliśmy oficjalnie, że są one „zagrożone", co pozwoliło nam na wprowadzenie zakazu zwiększania poboru wody przez wszelkie podmioty prywatne czy publiczne, a po drugie założyliśmy **stowarzyszenie użytkowników warstw wodonośnych** (pierwsze w Hiszpanii), aby uzyskać prywatno-publiczną kontrolę i dobrowolne umowy w celu zmniejszenia zużycia wody. Środki na działalność stowarzyszenia pochodzą od lokalnej publicznej spółki wodociągowej – Aigües del Prat, S.A. (1), która pobiera wodę bezpośrednio ze zbiornika podziemnego i obsługuje 65 tys. mieszkańców, setki przedsiębiorstw, lotnisko i port.

W tym samym czasie pracowaliśmy intensywnie nad planem zagospodarowania przestrzennego, **aby zapewnić warunki dla odzyskania jakości biologicznej rzeki, mokradeł i plaż**. Bardzo szybko stało się jasne, ze jedynym rozwiązaniem jest zbudowanie największego w Europie zakładu uzdatniania wody, będącego w stanie oczyszczać wodę odprowadzaną przez 2 miliony ludzi i setki fabryk (w tamtym czasie całość wody wpływała bezpośrednio do rzeki a następnie na wybrzeże). Jako lokalny samorząd narzuciliśmy kilka wymogów, chociaż sam projekt musiał być inwestycją rządu centralnego:

- zakład uzdatniania wody musiał być zbudowany, a następnie zarządzany przez instytucję publiczną;
- musiał zawierać trzeci stopień oczyszczania wody;
- co najmniej 20% całej oczyszczanej wody musiało być ponownie wykorzystane, aby:

  a) zagwarantować ekologiczny poziom wody w rzece;

  b) stworzyć „barierę wodną" aby zapobiec przenikaniu wody morskiej do warstw wodonośnych (konsekwencja rozbudowy portu w latach sześćdziesiątych, która zaburzyła równowagę hydrostatyczną);

  c) zagwarantować wodę dla obszarów rolniczych;

  d) zapewnić wodę dla zastosowań alternatywnych (przemysłowych, podlewania parków i ogrodów publicznych, czyszczenia ulic itp.)
- musiał zawierać rurociąg o długości 3,2 km od wybrzeża, w celu zapobieżenia jego skażeniu w przypadku problemów lub przerw technicznych.

Następnym krokiem po podpisaniu porozumienia było zajęcie się problemami dotyczącymi rzeki. Po pierwsze dlatego, że usytuowanie rzeki było niezbędne dla wyznaczenia lokalizacji zakładu uzdatniania, a po drugie, ponieważ ostateczne położenie rzeki miało kluczowe znaczenie dla ogólnej równowagi terytorialnej. My, Zieloni, byliśmy przeciwko jakiejkolwiek zmianie naturalnego biegu rzeki, lecz w ogólnym porozumieniu wynegocjowaliśmy ostatecznie następujące warunki dla tego projektu:

- **projekt musiał obejmować rewitalizację rzeki**, tak aby mogła być użytkowana przez społeczność - nie tylko na ostatnich czterech kilometrach, ale całych dziewięciu kilometrach rzeki w granicach miasta;
- **musiał uwzględniać zakup 125 ha** w celu utworzenia nowych mokradeł zarządzanych przez publiczne konsorcjum;
- **musiał być stworzony system kontroli warstw wodonośnych i rzeki;**
- **musiał obejmować nawiezienie 1 mln m³ piasku** dla zrównoważenia zmniejszania ilości piasku dostarczanego przez rzekę, co skutkowało przybrzeżną erozją (5-10 m każdego roku).

Inne warunki tego porozumienia były następujące: utworzenie ponad 600 ha obszarów chronionych Natura 2000 (i zakup połowy z nich przez miasto) oraz powołanie instytucji publicznej odpowiedzialnej za ochronę wszystkich terenów przyrodniczych i zarządzanie nimi.

Później ustaliliśmy też, że zbudujemy zakład odsalania, aby **zapobiec dwóm zagrożeniom**:

1. sytuacji kryzysowej na obszarze metropolii w przypadku dotkliwej suszy (2);
2. oraz realizacji gigantycznego projektu katalońskiej partii konserwatywnej (3), który zakładał dostarczanie wody z oddalonej o… 400 kilometrów rzeki Rodan we Francji, nad którą znajdują się liczne elektrownie atomowe, używające jej wody do chłodzenia.

Poza tym przez wszystkie te lata pracowaliśmy intensywnie na rzecz ochrony obszaru rolniczego Delty, dla której system nawadniania ma znaczenie kluczowe. Z tego powodu współpracowaliśmy ze **Społecznością Użytkowników Kanału (organizacją będącą własnością wszystkich rolników**, która kontroluje i reguluje system wodny Delty przez ostatnie 200 lat), wspomagając ją finansowo i naszymi zasobami ludzkimi.

Można powiedzieć, że w EL Prat znajduje się obecnie największa koncentracja infrastruktury wodnej i wszystkie instalacje są **w całości w rękach publicznych i wspólnotowych, aby zapewnić model zrównoważony, społeczny i sprawiedliwy**. Ma on zagwarantować odpowiednią ilość wody, jakość ekologiczną wody we wszystkich ekosystemach, zapewnić dostęp do niej dla wszystkich (sprawiedliwa cena i gwarancja usług dla osób znajdujących się w trudnej sytuacji finansowej), oraz, co jest prawdopodobnie najważniejsze, usunąć wodę z cyklu komercyjnego.

Przypisy

(1) El Prat jest jedynym miastem na obszarze metropolitalnym Barcelony, które nie jest obsługiwane przez prywatne przedsiębiorstwo – Aigües de Barcelona. Rezultat: woda jest o 30% tańsza!

(2) Średnio co 10/12 lat z powodu klimatu śródziemnomorskiego mamy do czynienia z dotkliwymi suszami, które na skutek zmian klimatu stają się obecnie jeszcze dotkliwsze, przy czym oparte na zasadach gospodarki neoliberalnej zarządzanie wodą pociąga za sobą coraz bardziej katastrofalne konsekwencje. Ostatnia miała miejsce w 2006 roku i woda do obszaru metropolitalnego Barcelony dostarczana była statkami.

(3) Katalońska Partii Konserwatywna sprawowała władzę w Katalonii przez 45 z 50 lat istnienia rządu Katalonii.

Tłumaczenie: Jan Skoczylas

Sergi Alegre Calero jest doktorem historii współczesnej Uniwersytetu Barcelony. Zastępca burmistrza miasta El Prat de Llobregat, członek Zarządu metropolii Barcelony, członek Rady Krajowej katalońskiej partii zielonych Iniciativa per Catalunya, przewodniczący grupy roboczej ds. środowiska ICV, współpracownik Zielonej Fundacji Europejskiej (GEF) i Europejskiej Partii Zielonych. Przewodniczący Airport Regions Conference (Europejskie stowarzyszenie miast i regionów z międzynarodowym lotniskiem), Wiceprezes Aigües del Prat S.A. (spółka publiczna wodociągów miejskich El Prat).

JEDZENIE JEST MODNE. ROLNICY MNIEJ

Nina Józefina Bąk, Jakub Rok

Książki kucharskie przybierają dziś formy modowych żurnali. Żywność jest modna, rolnicy mniej. W szale mody na organic, bio, vegan, gluten-free i fair trade, mało kto dostrzega mechanizmy działania branży spożywczej.

Produkcja i dystrybucja żywności poddana jest tym samym regułom kapitalistycznej gry, co inne sektory gospodarki (kumulacja kapitału, prywatyzacja zysków, uspołecznienie kosztów i eksploatacja środowiska). Tym co ją wyróżnia, jest stosunkowa łatwość uchwycenia zmian i ich wpływu na wszystkie grupy społeczne w Polsce po 1989 roku. W końcu wszyscy coś jemy. Codziennie.

Coraz trudniej jest kupić nieprzetworzoną, świeżą i zdrową żywność za przystępną cenę - to fakt. Widzimy to niezależnie od tego, w jak dużym mieście mieszkamy i jaki mamy budżet. Produkcja i dystrybucja żywności podlega dynamicznym zmianom, wynikającym z podporządkowania mechanizmom globalnego rynku. Mechanizmom szkodliwym dla ludzi i środowiska w którym żyją. Powszechność tych zjawisk daje szansę mobilizacji grup dotąd nie utożsamiających się z działaniami kontestującymi neoliberalny porządek.

Miasto

Polska jest jednym z nielicznych państw w Unii Europejskiej, które nie regulują rozwoju sektora handlu wielkopowierzchniowego, zwłaszcza tzw. dyskontów. Tą sferą rządzi „niewidzialna ręka", czyli budżety ponadnarodowych koncernów. Jak okazało się niedawno koncerny te były też bezpośrednio wspierane przez pieniądze publiczne (Bank Światowy i Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju przyznały się, że udzielały pożyczek na finansowanie ekspansji sieci LIDL i KAUFLAND w Europie Środkowej). Z taką konkurencją niezależne, rodzime sklepy błyskawicznie tracą klientów. Są wypychane z rynku artykułów spożywczych oraz drobnej chemii gospodarczej, bo w sprzedaży tych właśnie towarów specjalizują się sieci dyskontowe.

Konsekwencje tego procesu są typowe dla kapitalizmu – wyzysk pracowników, maksymalizacja zysków kosztem kontrahentów i przede wszystkim kreatywna księgowość pozwalająca uniknąć opodatkowania. Oferta takich sklepów przyczynia się także do „odlokalnienia" codziennych zakupów, bowiem przy tak dużej skali działalności koszty transportu są mało istotne w porównaniu z kosztami produkcji. Na półkach dominują towary od dużych dostawców, zunifikowane, często wysoce przetworzone lub wzbogacone w konserwanty ułatwiające ich przechowywanie i transport.

Droga żywności od producenta jest długa i nieprzejrzysta. Konsumenci są nieświadomi społecznych i środowiskowych konsekwencji kupowania importowanej i przemysłowo produkowanej żywności, nie mówiąc już o znajomości kalendarza plonów. Przyzwyczajeni do dumpingowo niskich cen, nie rozumieją zwyżki cen związanej z klęskami naturalnymi (susza 2015 r.). Brak kontaktu między rolnikami, a mieszkańcami miast nie tworzy podstaw do budowy zaufania i wspierania się, kiedy to potrzebne. Przypomnijmy - wiosną 2015r., w czasie gdy mieszkańcy stolicy odwiedzają kolejne eko targi i bazary w poszukiwaniu zdrowej żywności, pod Kancelarią Premiera protestują rolnicy domagający się m.in. zakazu spekulacji ziemią i regulacji umożliwiających sprzedaż bezpośrednią produktów wytwarzanych w ich gospodarstwach. Poparcie czy choćby zainteresowanie protestem ze strony mieszkańców miast jest znikome. Solidarność jawi się jako jakieś abstrakcyjne pojęcie.

Wieś

Na wsi postępuje uprzemysłowienie rolnictwa i upadek małych gospodarstw. Wraz z rosnącym udziałem dużych sieci handlowych na polskim rynku, wzrasta znaczenie producentów żywności działających na tak dużą skalę, by móc stać się ich partnerem. Ten rodzaj gospodarowania opiera się na intensywnym wykorzystaniu maszyn i agrochemii, co skutkuje zanieczyszczeniem środowiska, pogorszeniem jakości wytwarzanej żywności, czy niekorzystnymi zmianami w krajobrazie. Mniejsze gospodarstwa, wykorzystujące bardziej przyjazne dla środowiska metody gospodarowania, nie są w stanie sprostać wymogom pośredników i narzucanym przez nich warunkom (m.in. odroczona płatność, wielkość dostaw itp.). Dodatkowo, łatwość transportu i dominacja wielkich sieci powoduje, że konkurencja w rolnictwie staje się globalna. Trudności małych gospodarstw chcących utrzymywać się ze sprzedaży żywności są potęgowane przez stopniowe zanikanie skupów produktów rolnych oraz słabą kondycję rolniczej spółdzielczości. W efekcie obserwujemy masowy odpływ młodych mieszkańców z polskiej wsi, a w wielu miejscach kraju – zanikanie specyficznej kultury związanej z wsią rolniczą. Pamiętam rozmowę z Marcinem, jednym z rolników z Zielonego Miasteczka. Pochodzi z zachodnio-pomorskiego. „W moim regionie kiedyś było 2000 gospodarstw, teraz jest 100. Gdzie mamy pracować? Jak byłem dzieckiem w podstawówce, było nas 30 osób w klasie rolniczej – dzieci rolników. Dzisiaj zostało nas trzech. Reszta wylądowała na zmywaku w Irlandii".

BIO

W dużych miastach zauważalny staje się rozwój sektora „ekologicznego", oferującego żywność uprawianą bez nawozów sztucznych, ograniczającą opryski, produkowaną z poszanowaniem środowiska, zwykle bogatszą w wartości odżywcze i smakowe. Niestety jest ona pozycjonowana na rynku jako luksusowa, a zatem niedostępna dla większości osób ze względu na wysoką marżę (dodawaną do i tak relatywnie wysokiego kosztu produkcji). Zawyżona cena nie tylko ogranicza dostęp do takiej żywności dla konsumentów, ale przyczynia się także do tworzenia bariery popytowej dla rozwoju rolnictwa ekologicznego w Polsce. W rezultacie mniej rolników – napotykających opisane przez nas wcześniej problemy – może wzmocnić swoją pozycję na rynku, dzięki przestawieniu się na ekologiczne metody produkcji. Szansą na przełamanie tej sytuacji jest nawiązanie bezpośrednich relacji między producentami i konsumentami oraz zwiększenie świadomości tej drugiej grupy.

Zalążki współpracy Miasto-wieś

Budowanie świadomości i odpowiedzialności konsumenckiej poprzez nawiązywanie bezpośrednich relacji (także handlowych) między rolnikami i konsumentami staje się ważną płaszczyzną aktywizmu społecznego. W ten sposób, podstawowa potrzeba biologiczna (dostęp do zdrowej żywności) łączy się z działaniem obywatelskim (współdziałanie na rzecz realizowania ważnej potrzeby społecznej).

Kooperatywy Spożywcze

Kooperatywny model współdziałania pozwala konsumentom wziąć odpowiedzialność za sposób zaspokajania swojej potrzeby, a przy tym wspiera sprawiedliwą wymianę handlową (domestic fair trade). Dodatkowo część kooperatyw odwołując się do wartości spółdzielczych, kładzie nacisk na zasady demokratycznej samoorganizacji i współpracy, a także próbuje odzyskać i nadać znaczenie pojęciu wspólnoty.

Ponad 5,5 roku temu grupa warszawskich aktywistów założyła Warszawską Kooperatywę Spożywczą, pierwszą taką inicjatywę żywnościową w Polsce. Jej celem było omijanie pośredników. Od tego czasu w całym kraju powstało kilkanaście podobnych grup, które poprzez wspólne zakupy chcą odzyskać kontrolę nad łańcuchem dostaw. Poza kooperatywami powstało kilkadziesiąt grup zakupowych oraz kilka systemów RWS (rolnictwa wspieranego przez społeczność). Aktywizm „żywnościowy" stał się regularną praktyką społeczną i sposobem na omijanie patologii obecnego rynku dla kilkunastu/kilkudziesięciu społeczności w Polsce. Choć nadal jest nurtem niszowym, to obiecująco przybiera na sile.

Obserwujemy w Polsce różne kierunki rozwoju kooperatyw. Aby były skuteczne w realizacji swojego podstawowego celu - odbudowywania partnerskich relacji na linii miasto-wieś, muszą one przybrać formę sprawnie działających organizacji ze stosunkowo dużą siłą nabywczą. Skala zamówień żywności jest bowiem podstawą do tego, aby stać się partnerem w relacjach z rolnikami uprawiającymi ziemię w sposób zrównoważony, gdyż koszty wytwarzania takiej żywności są wysokie. Między innymi dlatego Kooperatywa Spożywcza „Dobrze" w sierpniu 2014 r. otworzyła pierwszy w Polsce oddolny sklep spółdzielczy.

Założyliśmy społecznościowy sklep, który obok zaopatrywania w lokalną żywność, tworzy wspólnotę praktykującą demokrację bezpośrednią. Po roku funkcjonowania sklepu stowarzyszamy i zaopatrujemy w żywność blisko 150 gospodarstw domowych*, i mamy niemal drugie tyle klientów. Stale współpracujemy bezpośrednio z ok. 15 gospodarstwami rolnymi, głównie z województwa mazowieckiego. Nasza Kooperatywa działa skutecznie i rozwija się m.in. dlatego, że za warunek funkcjonowania uznała stworzenie miejsc pracy dla najbardziej zaangażowanych członków i członkiń. Dzisiaj na płatnych stanowiskach udaje nam się zatrudniać 5 osób należących do „Dobrze". Dodatkowym czynnikiem umożliwiającym nam działanie jest finansowa i fizyczna kontrybucja wszystkich członków i członkiń kooperatywy.

RWS

Nieco nowszym i stale rozwijającym się sposobem na wsparcie drobnego rolnictwa jest system Rolnictwo Wspierane przez Społeczność (RWS). Zakłada on kontraktowanie upraw bezpośrednio u rolników/ek oraz współuczestnictwo w kosztach związanych z prowadzeniem gospodarstwa. W RWS-ie płaci się jakoby nie tylko za żywność, ale również za rolnictwo.

RWS to model współpracy między konsumentami i producentami żywności, który tworzy dogodne warunki działalności dla drobnych gospodarstw rolnych. Relacja między obiema grupami, zwykle zapośredniczona przez rynek, na którym główną motywacją jest zysk, zmienia się w osobisty, oparty na zaufaniu kontakt, w którym szacunek i obustronna opieka wypierają logikę rynkową. W RWS-ie konsumenci płacą rolnikom z góry na początku sezonu pewną ustaloną na podstawie budżetu kwotę. Dzięki takiemu rozwiązaniu rolnik zna swój roczny przychód, i niezależnie od urodzaju czy wahań cen rynkowych z powodzeniem prowadzi gospodarstwo. Płatności dokonywane wczesną wiosną dają gospodarstwu środki niezbędne do zakupu nasion i drobnego sprzętu, co pozwala uniknąć pożyczek, a tym samym zależności od kaprysów systemu bankowego.

Dodatkową zaletą RWS-u jest oszczędność czasu rolników. Wielu z nich, szczególnie jeśli produkują ekologicznie, sprzedaje swe produkty na targach. Dostarczając wszystkie produkty tylko raz w tygodniu, nie muszą tracić czasu na targowisku, szukać nowych odbiorców, ani spędzać czasu na reklamowaniu swoich warzyw.

Jest to system bez wątpienia korzystny najbardziej dla rolników, a jednakowoż jak do tej pory, niewiele gospodarstw zdecydowało się na taki model. Dla odbiorców model ten jest gwarancją lokalnego pochodzenia oraz walorów zdrowotnych żywności. Znaczną wadą jest jednak jego sezonowość. Jak dotąd powstało w Polsce około 5 grup RWS (3).

Zakończenie

Jedną z wyraźnie widocznych w Polsce przemian jest dynamiczny rozwój sieci handlowych. Według badań CBOS z 2013 roku, już 88% Polaków większość swoich zakupów spożywczych realizuje w dyskontach, marketach lub supermarketach.

Nic dziwnego, że w kraju niskich zarobków i umów śmieciowych króluje dumpingowa i równie śmieciowa żywność. Jeszcze długo na ekologiczną żywność nie będzie stać większości społeczeństwa. Jednak dla tych, którzy chcą i mogą wspierać sprawiedliwy handel i zrównoważone rolnictwo, pojawia się coraz więcej alternatyw. Zdecentralizowany i swobodny rozwój „spożywczego aktywizmu" sprawił, że w całej Polsce istnieje kilkanaście-kilkadziesiąt modeli bezpośredniej współpracy na linii miasto-wieś. Każdy z nich jest niepowtarzalny.

Artykuł ukazał się w ABC Kapitalizmu. Zeszyt drugi. balcerowicz.com

DEKLARACJA
Międzynarodowego Forum na rzecz Agroekologii
(fragmenty)
Nyéléni, Mali • 27 lutego 2015

Jesteśmy delegatkami i delegatami reprezentującymi różnorodne organizacje i ruchy międzynarodowe drobnych producentów żywności i konsumentów, w tym chłopów, ludy tubylcze, myśliwych i zbieraczy, rolników rodzinnych, pracowników rolnych, pasterzy i hodowców, rybaków uprawiających tradycyjne rybołówstwo przybrzeżne oraz mieszkańców miast. Społeczności reprezentowane przez nasze organizacje produkują łącznie około 70% żywności konsumowanej przez gatunek ludzki. […]

Spotkaliśmy się tutaj w Nyéléni Center w Sélingué w dniach od 24 do 27 lutego, aby wypracować wspólną wizję Agroekologii, jako kluczowego elementu w budowie Suwerenności Żywnościowej, i opracować strategie w celu promocji Agroekologii i obronienia jej przed zawłaszczeniem przez korporacje. […]

BUDOWANIE NA PRZESZŁOŚCI, PATRZENIE W PRZYSZŁOŚĆ

[…] Nasze przekazywane z pokolenia na pokolenie systemy produkcji rozwijały się przez tysiąclecia, i w ostatnich 30-40 latach zostało to nazwane Agroekologią. […]

Różnorodne, oparte na Agroekologii formy drobnej produkcji żywności, generują lokalną wiedzę, promują sprawiedliwość społeczną, pielęgnują tożsamość i kulturę oraz wzmacniają gospodarki obszarów wiejskich. Jako drobni producenci rolni, wybierając metody agroekologiczne, bronimy swojej godności.

PRZEZWYCIĘŻANIE LICZNYCH KRYZYSÓW

Agroekologia jest odpowiedzią na pytanie, w jaki sposób zmienić i naprawić nasz system żywnościowy i życie obszarów wiejskich, które zostały zniszczone przez rolnictwo przemysłowe [..]. Uważamy agroekologię za kluczową formę oporu wobec systemu gospodarczego, który przedkłada zyski ponad ludzi.

Model korporacyjny produkuje w nadmiarze żywność, która nas zatruwa, wyjaławia gleby, odpowiada za deforestację obszarów wiejskich, skażenie wody i niszczenie łowisk. Podstawowe zasoby naturalne uległy utowarowieniu, a wzrastające koszty produkcji zmuszają nas do opuszczania naszej ziemi. Nasiona rolników są przywłaszczane i sprzedawane z powrotem po zawrotnych cenach, w odmianach, które wymagają stosowania drogich, trujących substancji agrochemicznych. Przemysłowy system żywnościowy jest główną przyczyną licznych kryzysów: klimatycznego, żywnościowego, ekologicznego, zdrowotnego i innych. Umowy o wolnym handlu i korporacyjne porozumienia inwestycyjne, umowy w sprawie rozstrzygania sporów pomiędzy inwestorami a państwami oraz fałszywe rozwiązania, takie jak rynki emisji związków węgla, a także postępująca „finansjalizacja" ziemi i żywności, powodują dalsze pogłębianie się tych problemów. Agroekologia w ramach Suwerenności Żywnościowej oferuje nam wspólną ścieżkę do przezwyciężenia wymienionych wyżej kryzysów.

AGROEKOLOGIA NA ROZDROŻU

Na skutek swoich wewnętrznych sprzeczności – takich jak degradacja gleb, chwasty odporne na herbicydy, przetrzebione łowiska, monokultury spustoszone przez szkodniki i choroby, oraz coraz bardziej oczywiste negatywne konsekwencje, w tym emisje gazów cieplarnianych i kryzys zdrowotny spowodowany spożywaniem dużych ilości przemysłowego i śmieciowego jedzenia […] - przemysłowy system żywnościowy zaczyna wyczerpywać swój potencjał produkcyjny i zdolność przynoszenia zysków.

Powszechne naciski sprawiły, że międzynarodowe instytucje, rządy, uniwersytety i centra badawcze, niektóre organizacje badawcze, korporacje i inni, doceniły w końcu wartość „Agroekologii". Jednak próbują przedefiniować ją, jako zestaw technologii mogących posłużyć do złagodzenia kryzysu związanego z brakiem zrównoważenia przemysłowej produkcji żywności, bez zmieniania istniejących struktur władzy. To przejęcie Agroekologii w celu dostrojenia przemysłowego systemu żywnościowego, i jednoczesne gołosłowne deklaracje w dyskursie ekologicznym, przyjmują różne nazwy, takie jak „rolnictwo przyjazne klimatowi", „zrównoważona-" albo „ekologiczna intensyfikacja", przemysłowa monokulturowa produkcja żywności „ekologicznej" itp. […]

Dostosowanie do modelu przemysłowego nie przyniesie prawdziwych rozwiązań kryzysów: klimatycznego, związanego z niedożywieniem i innych. Musimy ten model przekształcić i zbudować nasze własne, lokalne systemy żywnościowe, które stworzą nowe związki pomiędzy wsią a miastem […]. Nie możemy pozwolić, aby Agroekologia stała się narzędziem przemysłowego modelu produkcji żywności: postrzegamy ją jako podstawową alternatywę dla tego modelu, i środek służący do przekształcenia sposobu, w jaki wytwarzamy i konsumujemy żywność, tak by lepiej służył ludzkości i naszej Matce Ziemi.

NASZE WSPÓLNE FILARY I ZASADY AGROEKOLOGII

Agroekologia jest sposobem życia i językiem Natury, którego uczymy się jako jej dzieci. Nie jest to po prostu zbiór technik i sposobów produkcji. Nie może być wprowadzana wszędzie w ten sam sposób. Oparta jest na zasadach, które, jakkolwiek mogą być podobne na naszych wszystkich zróżnicowanych terytoriach, mogą być i są wprowadzane w życie na wiele różnych sposobów, gdzie każdy sektor dodaje własne barwy do ich lokalnej rzeczywistości i kultury, jednocześnie szanując zawsze Matkę Ziemię i nasze wspólne wartości.

Praktyki produkcyjne Agroekologii […] **oparte są na zasadach ekologicznych**, takich jak wspomaganie życia biologicznego w glebie, recykling składników odżywczych, dynamiczne zarządzanie bioróżnorodnością i oszczędność energii bez względu na skalę. Agroekologia drastycznie zmniejsza poziom nakładów zewnętrznych, łączących się z koniecznością zakupów od przedsiębiorstw przemysłowych. Nie używa się chemicznych środków ochrony roślin, sztucznych hormonów, GMO i innych nowych niebezpiecznych technologii.

Terytoria są fundamentalnym filarem Agroekologii. Narody i społeczności mają prawo do zachowania swoich własnych materialnych i duchowych związków z zamieszkiwanymi przez siebie ziemiami. Są uprawnione do zabezpieczania, rozwijania, kontrolowania i rekonstrukcji właściwych im zwyczajowo struktur społecznych i administrowania własnymi ziemiami i terytoriami […], zarówno pod względem społecznym, jak i politycznym. Oznacza to pełne uznanie ich praw, tradycji, zwyczajów, systemów praw własności i instytucji, oraz stanowi o uznaniu prawa narodów do samostanowienia i autonomii.

Zbiorowe prawa i dostęp do Dóbr Wspólnych są głównymi filarami Agroekologii. Dzielimy dostęp do terytoriów, które są domem dla różnych grup ludzi, i mamy rozbudowane zwyczajowe systemy w celu regulacji tego dostępu oraz unikania konfliktów, i chcemy je zachować i wzmocnić.

Różnorodna wiedza i sposoby poznawania właściwe dla naszych narodów są fundamentem agroekologii. […] Nasze procesy uczenia się są oparte na powszechnej edukacji, horyzontalne i polegają na bezpośredniej wymianie wiedzy (peer-to-peer). […] Agroekologia rozwija się dzięki naszym innowacjom, badaniom, selekcji upraw i inwentarza żywego, oraz hodowli.

Istotą naszej wizji kosmosu jest niezbędna równowaga pomiędzy naturą, wszechświatem a istotami ludzkimi. Uznajemy fakt, że jako ludzie jesteśmy tylko częścią natury i wszechświata. Dzielimy związek duchowy z naszymi ziemiami i z całą siecią życia. Kochamy nasze ziemie i nasze narody, wiemy, że bez tej miłości nie będziemy w stanie obronić Agroekologii, walczyć o nasze prawa ani nakarmić świata. **Odrzucamy przekształcanie w towar jakichkolwiek form życia.**

Rodziny, społeczności, kolektywy, organizacje i ruchy społeczne są żyzną glebą, na której rozkwita Agroekologia. Kolektywna samoorganizacja i działanie są tym, co umożliwia rozpowszechnienie Agroekologii, budowanie lokalnych systemów żywnościowych i skuteczny opór wobec korporacyjnej kontroli naszego systemu żywnościowego. Kluczowym elementem jest solidarność pomiędzy narodami oraz mieszkańcami wsi i miast.

Autonomia Agroekologii eliminuje kontrolę globalnych rynków i umożliwia samorządność społeczności. Oznacza to, że minimalizujemy użycie środków kupowanych na zewnątrz. Wymaga to przekształcenia rynków tak, by opierały się na zasadach ekonomii solidarnościowej i etyce odpowiedzialnej produkcji i konsumpcji. Sprzyja powstawaniu bezpośrednich i sprawiedliwych łańcuchów dystrybucji. Implikuje przejrzyste relacje pomiędzy producentami a konsumentami, i opiera się na solidarnym dzieleniu ryzyka i korzyści.

Agroekologia jest polityczna, wymaga od nas zakwestionowania i przekształcenia struktur władzy w społeczeństwie. Musimy oddać kontrolę nad nasionami, bioróżnorodnością, ziemią i terytoriami, wodą, wiedzą, kulturą i innymi dobrami wspólnymi w ręce ludzi, którzy karmią świat.

Kobiety i ich wiedza, wartości, wizje i przywództwo mają kluczowe znaczenie dla dalszego rozwoju. Migracje i globalizacja powodują, że kobiety coraz więcej pracują, jednak mają o wiele gorszy od mężczyzn dostęp do zasobów. Zbyt często, ich praca nie jest dostrzegana ani uznawana. Aby Agroekologia mogła osiągnąć swój pełny potencjał, **musimy doprowadzić do równej dystrybucji władzy, zadań, podejmowania decyzji i wynagrodzenia.**

Ludzie młodzi, wraz z kobietami, stanowią jedną z dwóch głównych społecznych podstaw ewolucji Agroekologii. Agroekologia może zapewnić młodym przestrzeń dla włączenia się w radykalną transformację społeczną i ekologiczną, która rozpoczęła się w wielu naszych społeczeństwach. Na młodych spoczywa odpowiedzialność za przeniesienie w przyszłość kolektywnej wiedzy, której nauczyli się od swoich rodziców, starszyzny i przodków. Są oni sługami Agroekologii dla przyszłych pokoleń. […]

Zbudowaliśmy Agroekologię poprzez wiele inicjatyw i zmagań. Mamy prawo do dalszego jej rozwijania w przyszłości. Decydentom nie wolno kształtować jej bez nas. Muszą oni szanować i wspierać nasze agroekologiczne procesy, zamiast nadal wspomagać siły, które nas niszczą. […]

Apelujemy do wszystkich ludzi dobrej woli o przyłączenie się do nas w kolektywnym zadaniu współtworzenia Agroekologii, jako części ludowego ruchu na rzecz budowy lepszego świata, świata opartego na wzajemnym szacunku, sprawiedliwości społecznej, równości, solidarności i harmonii z naszą Matką Ziemią.

* * * * *

Międzynarodowe Forum na rzecz Agroekologii zostało zorganizowane w Nyeleni Center w Mali, od 24 do 27 lutego 2015 roku przez następujące organizacje: Coordination Nationale des Organisations Paysannes du Mali (CNOP Mali), La Via Campesina (LVC), Movimiento Agroecológico de América Latina y el Caribe (MAELA), Réseau des organisations paysannes et de producteurs de l'Afrique de l'Ouest (ROPPA) , World Forum of Fish Harvesters and Fishworkers (WFF), World Forum of Fisher Peoples (WFFP), World Alliance of Mobile Indigenous Peoples (WAMIP), More and Better.

Tłumaczenie: Jan Skoczylas

Pełny tekst deklaracji można przeczytać na naszej stronie internetowej: www.zielonewiadomosci.pl

PODĄŻAJĄC ŚLADAMI GANDIEGO

Fot. Flickr.com – greensefa

O ekologii i sprawiedliwości społecznej, feminizmie, fizyce kwantowej, bioróżnorodności, biopiractwie, przeludnieniu i nadziei na przyszłość - Scott London w rozmowie z Vandana Shivą.

Scott London: Z wykształcenia jesteś fizykiem i filozofem nauki. Jak to się stało, że zainteresowałaś się aktywizmem ekologicznym, prawami kobiet i problemami globalnej gospodarki?

Vandana Shiva: Studiowałam fizykę z powodu mojej miłości do natury. Kiedy byłam młodą studentką nauk ścisłych, uczono mnie, że fizyka jest sposobem na uczenie się natury. Tak więc moje podróże w dziedzinie fizyki były w istocie wyrazem tych samych pragnień, które sprawiły, że zagłębiłam się w ekologię. Nie są one tak naprawdę czymś różnym, oprócz tego, że jest dodatkowy wymiar – dostrzeganie zniszczeń ekologicznych i systemu podtrzymującego życie, który pozwala nam przetrwać na tej dewastowanej przez ludzi planecie.

Jestem kobietą, córką feministki i wnuczką dziadka feministy. Nie sądzę, żebym mogła uniknąć zajmowania się kwestiami kobiet. Nie zajmuję się tym dla kariery, ani nie traktuję jako profesji, jest to sedno mojej natury, jako istoty ludzkiej. Kiedy widzę zbyt wiele niejasności w sposobach, na jakie wyjaśnia się istnienie nierówności – dlaczego ludzie, którzy pracują najciężej na świecie, stają się najubożsi – nie potrafię po prostu zdystansować się i nie starać się zrozumieć przepaści dzielącej biednych i bogatych, która nieustannie się pogłębia, lub dlaczego tak wielu ludzi cierpi z powodu bezdomności i głodu. Dla mnie wszystkie te kwestie – sprawiedliwości, ekologii, dociekań naukowych za pomocą fizyki – mają to samo źródło. W pewnym sensie, tak naprawdę nie zmieniłam obszaru zainteresowań,

London: Powiedziałaś, że najważniejszy problem stojący przed dzisiejszym światem, jest dwoistej natury: z jednej strony potrzeba zrównoważenia ekologicznego, a z drugiej sprawiedliwości społecznej. Dla wielu ludzi, szczególnie w USA, są to nie mające ze sobą związku, osobne kwestie. Lecz dla ciebie są one niemożliwe do rozdzielenia.

Shiva: Tak, dla mnie są one ściśle ze sobą związane, częściowo ponieważ mój pogląd na ekologię wywodzi się z marginesów indyjskiego społeczeństwa, od producentów rolnych, którzy stanowią 70% indyjskiej populacji – ludzi, którzy są zależni od zasobów naturalnych, bioróżnorodności, ziemi, lasów i wody. Ich środkami produkcji jest natura. Dewastacja środowiska jest więc dla nich formą niesprawiedliwości. Kiedy las zostaje zniszczony, kiedy obwałowuje się rzekę, kiedy zanika bioróżnorodność, kiedy pola przesiąkają wodą lub ulegają zasoleniu z powodu działalności gospodarczej, zagraża to przetrwaniu tych ludzi. Zatem nasze ruchy ekologiczne są ruchami na rzecz sprawiedliwości społecznej.

Myślę, że przyczyna tego, że nie jest tak w warunkach północnoamerykańskich, ma związek z historią tego kraju. Okupacja tego kraju (a przybycie Kolumba z pewnością było okupacją, nie da się temu zaprzeczyć) oznaczała, że cała historia Rdzennych Amerykanów została ukryta. Ziemię można okupować tylko wtedy, gdy najpierw określi się ją, jako niezamieszkałą. Więc uznano ją za niezamieszkałą dzicz, pomimo że od tysiącleci żyła na niej ludność tubylcza.

Historycznie natura została zdefiniowana jako dzicz. Później, gdy pojawił się ruch na rzecz ochrony środowiska, powstał on niezależnie od kwestii nierówności społecznych i problemów ekonomicznych związanych z przetrwaniem. Był to ruch ekologiczny stworzony przez kulturę okupantów. Zatem obecnie ruch ekologiczny znalazł się w opozycji do kwestii sprawiedliwości. Można to dostrzec w sposobie, w jaki przedstawia się problemy. Jest to ciągłe powtarzanie schematu praca versus środowisko, natura versus chleb. Są to skrajnie nienaturalne dychotomie.

> Kiedy widzę zbyt wiele niejasności w sposobach, na jakie wyjaśnia się istnienie nierówności - dlaczego ludzie, którzy pracują najciężej na świecie, stają się najubożsi - nie potrafię po prostu zdystansować się i nie starać się zrozumieć przepaści dzielącej biednych i bogatych, która nieustannie się pogłębia, lub dlaczego tak wielu ludzi cierpi z powodu bezdomności i głodu.

Sądzę, że osiągnęliśmy stadium, na którym powinniśmy poszukiwać równocześnie rozwiązań problemów związanych z niesprawiedliwością ekonomiczną i brakiem zrównoważenia. Zrównoważenie dotyczące środowiska i sprawiedliwość w znaczeniu prawa każdej jednostki do własnego miejsca w systemie produkcji i konsumpcji – to dwa aspekty tej samej kwestii. Zostały one w sposób sztuczny rozdzielone i muszą na nowo stać się częścią zachodniego sposobu myślenia.

London: To bardzo ciekawe, że chociaż jesteś naukowcem i kształciłaś się w zdecydowanie zachodniej tradycji intelektualnej, reprezentujesz bardzo różny światopogląd.

Shiva: Mój proces edukacji naukowej był w istocie bardzo krytyczny wobec nauki mechanistycznej. Studiowałam teorię kwantową, która pojawiła się na początku zeszłego stulecia. Jesteśmy opóźnieni o całe stulecie, jeśli chodzi o uświadomienie sobie, jak ogromnym krokiem naprzód dla umysłu ludzkiego była teoria kwantowa. Na przykład pogląd, że rzeczy mają niezmienne właściwości, jest błędnym widzeniem świata. Właściwości są tworzone poprzez związki i procesy. Nie tkwią w istocie elektronów, fotonów czy kwantów w większym stopniu niż w naturze gleby, drzew czy ludzi. Tak więc moja krytyka redukcjonistycznej nauki wypływa z mojego przygotowania naukowego. Lecz pogłębiła się ona w wyniku moich doświadczeń, jako ekologa, na skutek uświadomienia sobie mającego obecnie miejsce zniszczenia środowiska.

Nasz dominujący model nauki stał się niezwykle sprawny w manipulacji rzeczami dla pojedynczych funkcji i dla zewnętrznych celów. Na przykład, jeśli chcesz, żeby krowa nie była jedynie krową lecz maszyną do produkcji mleka, możesz to zrobić tworząc nowe hormony, takie jak bydlęcy hormon wzrostu. Krowa może zapaść na poważną chorobę, uzależnić od leków, a konsumenci mogą się obawiać o swoje zdrowie i bezpieczeństwo mleka. Ale tak bardzo przyzwyczailiśmy się do manipulowania rzeczami, organizmami i ekosystemami dla jednego celu, że ignorujemy związane z tym koszty. Nazywam to „monokulturą umysłu".

W Indiach na skutek programów krzyżowania mających na celu uzyskanie produkcji mleka na poziomie zachodnich krów, zwierzęta tracą zdolność do ciągnięcia pługów i wozów. W konsekwencji mamy teraz zwierzęta pozbawione garbów i wytrzymałości. Jeśli postrzegamy bydło zarówno jako źródło naturalnego nawozu, zwierzęcej energii, jak i mleka, wtedy bydło indyjskie nie jest gorsze. Jeśli oceniamy je jako maszyny do produkcji mleka, staje się mniej wartościowe.

Tak więc jednowymiarowy sposób myślenia wytworzył monokulturę umysłu. A monokultura umysłu stała się samospełniającą się przepowiednią. To jest główna przyczyna naszego postrzegania równości jako czegoś niezgodnego z ekologią, a zrównoważenia jako sprzecznego ze sprawiedliwością.

London: Usprawiedliwiamy te monokultury potrzebą wzrostu i rozwoju ludzkości.

Shiva: Jeśli weźmiemy pod uwagę cały system, rozwijanie czegoś w jednym wymiarze może w rzeczywistości spowodować niedobory w innym. Kiedy mówimy, że musimy zwiększyć produkcję, ponieważ ludzie potrzebują więcej jedzenia, więcej domów, więcej mięsa i więcej mleka, możemy sprawić, że jedna rzecz wzrośnie w określony sposób. Ale czyniąc to powodujemy skutki zewnętrzne i powstają niedobory innych, powiązanych rzeczy. Na przykład brakuje wody, gdy zanieczyścimy ją azotanami. Tracimy bioróżnorodność, kiedy obsiewamy ogromne pola tą samą odmianą kukurydzy, więc kiedy wybucha epidemia jednej choroby, wszystkie pola w całym kraju ulegają zniszczeniu. Dzisiejszy system technologii produkcji uzasadnia się potrzebą wytwarzania większej ilości dóbr, aby nakarmić więcej ludzi i zaspokoić więcej potrzeb. Lecz w rzeczywistości niszczy on więcej zasobów, których potrzebujemy w celu zaspokojenia tych wielorakich potrzeb.

London: Wypowiadasz się zdecydowanie przeciwko patentowaniu roślin i ziół, jest to coś, do czego przemysł farmaceutyczny dąży bardzo agresywnie w ostatnich latach.

Shiva: Tak, to zjawisko rozpoczęło się w USA, gdzie korporacje zaczęły rościć sobie prawa do form życia, bioróżnorodności i innowacji innych kultur, występując o patenty na nie. Na przykład pestycydy z drzewa Neem w Indiach są opatentowane. Istnieje teraz patent ograniczający użycie zioła zwanego *philantis neruri*, którego używa się do leczenia żółtaczki. Jeszcze lepszym przykładem jest używanie kurkumy do gojenia ran, robi to każda matka i babcia w każdym domu w Indiach. Teraz Mississipi Medical Centre twierdzi, ze „wynalazło" zdolność kurkumy do gojenia ran.

Nazwałam ten proceder zawłaszczania wspólnej wiedzy i nauki ludów tubylczych, „biopiractwem" i „intelektualnym piractwem". Zgodnie z systemami patentowymi nie powinniśmy mieć możliwości patentowania czegoś, co istnieje jako „wcześniejsze dzieło" lub „aktualny stan wiedzy" (*prior art*). Ale w Stanach Zjednoczonych system patentowy jest w pewien sposób wypaczony. Przede wszystkim nie traktuje on wiedzy innych społeczeństw jako „prior art.". Zatem ktokolwiek z USA może pojechać do innego kraju, dowiedzieć się o stosowaniu roślin leczniczych, lub znaleźć nasiono używane przez rolników, zgłosić to jako wynalazek albo innowację, uzyskać patent, i przywłaszczyć sobie wyłączne prawo do używania tych produktów lub procesów związanych z tą wiedzą.

Zamykanie dostępu do biologicznych i intelektualnych dóbr wspólnych stanowi realne zagrożenie dla przyszłości ludzi na całej planecie, ponieważ powoduje sytuację, w której garstka korporacji agrobiznesowych, farmaceutycznych i agrochemicznych uzyskuje monopol na powszechne praktyki, które od pokoleń były częścią ludzkiego życia. W rezultacie ludzie tracą zdolność do samodzielnego dbania o własne życie.

London: Jak się temu przeciwstawiacie – ty i kobiety, z którymi pracujesz?

Shiva: Mamy wielopoziomowy program oporu. **Pierwszy krokiem** jest podważanie tego jako kwestii moralnej i etycznej – w taki sam sposób, w jaki handel niewolnikami był poddawany w wątpliwość ze względu na to, że handel ludźmi jest nieetyczny. Nie można kopiować i sprzedawać wiedzy, jest to bezprawne i nie powinno mieć miejsca.

Drugim krokiem jest wypracowanie metod przywracania ludzkiej wiedzy, upewniania się, że ludzie odzyskują zaufanie do swojej własnej wiedzy, aby **bioróżnorodność i wiedza pozostały w domenie dóbr wspólnych.**

Trzeci krok polega na pracy nad alternatywami prawnymi. Tak jak prawa własności intelektualnej chronią innowacje indywidualnych osób, potrzebne są wspólne prawa własności, aby chronić dziedzictwo intelektualne ludności rdzennej. Prawa te zostały uznane w Konwencji o różnorodności biologicznej (*Convention on Biological Diversity*). Pracujemy nad tym, by stały się one niepodważalnymi podstawami naszego orzecznictwa.

Nie jest to łatwe, ponieważ jako kraj jesteśmy wciąż zastraszani na podstawie amerykańskiego prawa dotyczącego handlu zagranicznego (*United States Foreign Trade Act*). Zawiera ono klauzulę zwaną „Special 301", która mówi, że jeśli Indie lub innych kraj, nie mają przepisów, które podobnie jak w USA pozwalają na rozwój tych monopoli, Stany Zjednoczone zastosują środki odwetowe.

> Natura obdarzyła nas bogatą bioróżnorodnością biologiczną. Nie pozwolimy na monopol garstki korporacji. Jest ona podstawą naszego bogactwa i pożywienia - nie pozwolimy, by nam ją odebrano

Musimy więc budować strategie przeciwstawiania się retorsjom handlowym, opierając się na demokratycznych prawach ludzi i starodawnym dziedzictwie kolektywnych innowacji. Pracujemy od poziomu lokalnego – zwykłych obywateli – aż po rząd państwa i Światową Organizację Handlu. Nasze kampanie są bardzo wielowymiarowe. Potrzebny jest zarówno opór, jak i kreatywność. Wymaga to konstruktywnego działania, a jednocześnie powiedzenia „nie".

London: Nacisk na pokojową odmowę współpracy ma dużo wspólnego z podejściem do zmiany społecznej reprezentowanym przez Gandhiego.

Shiva: Kiedy rozpoczynałyśmy naszą pracę, nazwałyśmy ją *satyagrahą* nasion. Jak wiesz Gandhi zapoczątkował walkę o niepodległość *satyagrahą* soli. *Satyagraha* oznacza „walka o prawdę". *Satyagraha* soli była akcją bezpośrednią, polegająca na odmowie współpracy. Kiedy Brytyjczycy próbowali stworzyć monopol na produkcję i sprzedaż soli, Gandhi udał się na plażę w Dindi, podniósł grudkę soli i powiedział: „Natura dała nam to za darmo, aby nas pokrzepić, nie pozwolimy na stworzenie monopolu mającego na celu finansowanie armii imperialnej".

Robimy dokładnie to samo w sprawie bioróżnorodności i nasion. Natura obdarzyła nas bogatą bioróżnorodnością biologiczną. Nie pozwolimy na monopol garstki korporacji. Jest ona podstawą naszego bogactwa i pożywienia – nie pozwolimy, by nam ją odebrano.

London: Jednym z najbardziej palących problemów ekologicznych jest dzisiaj przeludnienie. Kwestia ta jest często określana, szczególnie tutaj na Zachodzie, jako „problem trzeciego świata", ponieważ najwyższy wskaźnik urodzin występuje w krajach biednych. Jaki jest twój punkt widzenia?

Shiva: Liczba ludzi nie wzrasta z powodu ludzkiej głupoty i ignorancji. Wzrost populacji jest zjawiskiem ekologicznym ściśle związanym z innymi problemami, takimi jak uzurpacja zasobów niezbędnych ludziom do życia.

W Anglii nagły wzrost populacji bardzo wyraźnie związany był z zawłaszczeniem dóbr wspólnych, które pozbawiło chłopów ich ziemi. W Indiach było tak samo: liczba ludności wzrosła, gdy władzę przejęli Brytyjczycy i indyjskie ziemie zostały skolonizowane. Ziemia zamiast karmić naród indyjski, zaczęła karmić imperium brytyjskie. Wzrosło więc ubóstwo. Ludzie ubodzy, którzy nie są w stanie wyżywić się z własnej ziemi, mogą się jedynie utrzymać zwiększając liczbę członków rodziny, i z tego powodu się rozmnażają. Jest to racjonalna reakcja ludzi pozbawionych środków do życia.

Z problemem nadmiaru ludności można sobie poradzić tylko poprzez uznanie, że ludzie mają prawo do podstawowego bezpieczeństwa ekonomicznego. Jeśli zapewnimy im bezpieczeństwo materialne i ekologiczne, populacja sama się ustabilizuje. Pokazuje to jasno przykład Kerali. Kerala jest stanem w południowych Indiach, gdzie tendencje są całkowicie przeciwne niż w reszcie trzeciego świata i pozostałej części Indii. Jest tak z dwóch lub trzech powodów. Panuje tam równość płci. W stanie tym przeprowadzono również radykalny program reformy rolnej, więc nawet najbiedniejsi ludzie są właścicielami kawałka ziemi, na której stoi ich chata. Bezrolni robotnicy rolni mogą pracować na cudzej ziemi, ale posiadają na własność ziemię, na której stoi ich dom. Ta gwarancja zasobów ma ogromne konsekwencje dla bezpieczeństwa tych ludzi.

London: Czy z nadzieją patrzysz w przyszłość?

Shiva: Jestem absolutnie pewna, że nastąpią zmiany. Sądzę, że zobaczymy wiele zniszczeń, lecz wierzę, że jeśli będziemy w stanie dostrzec właściwe wzorce i wyciągnąć odpowiednie nauki z tych zniszczeń, możemy być zdolni do odbudowy, zanim będzie za późno. A poza tym mam ostateczną wiarę, że nawet jeśli nie będziemy w stanie tego zrobić, życie odnowi się samo. Globalna gospodarka może się załamać, ale Gaja przetrwa, nie zniknie również ludzka inwencja. Odbudujemy społeczeństwo, odbudujemy lokalne gospodarki, odbudujemy ludzkie aspiracje. Ten rodzaj globalnej monokultury, w której każdy czuje się, jakby musiał biec szybciej niż biegną inni po to, by pozostać w tym samym miejscu, nie może trwać dłużej. Sądzę, że rozczarowanie blaskiem globalizacji stanie się powszechne.

Wywiad został zaadoptowany z serii audycji radiowych „Insight&Outlook.

Tłumaczenie: Jan Skoczylas

Źródło: www.scottlondon.com

Podziękowania dla Scotta Londona za zgodę na publikację tłumaczenia.

Całość na stronie: www.zielonewiadomosci.pl

Fot. Flickr.com – Alexis Baden Mayer

GEF GREEN EUROPEAN FOUNDATION
strefa zieleni
The Greens | European Free Alliance in the European Parliament

PARTNERZY:

Opublikowane przez Green European Foundation (GEF) dla grupy Zieloni/WSE w Parlamencie Europejskim.

Poglądy wyrażone w tej publikacji należą wyłącznie do autorów i niekoniecznie odzwierciedlają wizję Green European Foundation (GEF) i grupy Zieloni/WSE w Parlamencie Europejskim.

Publikacja zrealizowana ze wsparciem finansowym Parlamentu Europejskiego.

Parlament Europejski nie odpowiada za zawartość niniejszego projektu.

Koordynacja projektu:

Beatrice White i Ioana Banach (Green European Foundation), Ewa Sufin-Jacquemart (Fundacja StrefaZieleni), Beata Nowak (Fundacja Zielone Światło).

REALNA FEDERACJA PRZYSZŁOŚCI

Przemek Stępień

Zimna wojna cementowała w umysłach ludzkich zerojedynkowe podziały na morderczych komunistów i krwiopijczych kapitalistów. Tym ciekawsze więc wydają się niektóre ówczesne wizje przyszłości świata, realizowane w kulturze popularnej, jak chociażby stworzona w 1964 r. przez Gene Roddenberry'ego koncepcja Star Treku, projektu, który zawładnął wyobraźnią milionów Amerykanów i nie tylko. W ówczesnych realiach świat literatury czy filmu miał za zadanie obalać utopijne myśli i wyobrażenia, sprowadzając wiarę w idealny świat do roli nierealnej mrzonki. Tymczasem jednak, wbrew ówczesnej logice i ideologii, wielkim sukcesem i fenomenem pokoleniowym stała się wizja Roddenberry'ego, przedstawiająca wszechświat oparty na transgalaktycznej harmonii, który przezwyciężył gospodarkę niedoboru, nacjonalizmy i nierówności społeczne. De facto był to system, który ekonomiści analizujący star-trekowską Federację nazwali „prawdziwym komunizmem" (‚true communism'). Mimo to w amerykańskim społeczeństwie, będącym w stanie wojny totalnej z czerwoną plagą i wyznającym prawie bezwzględny sprzeciw wobec tego systemu, futurologiczna wizja Roddenberry'ego – z udziałem Rosjanina Pavla Chekova oraz świadomie nieepatująca amerykańską symboliką – bezwiednie została zaadaptowana jako część pop-kultury. Star Trek skonstruował rzeczywistość pozbawioną pieniędzy i podziałów narodowych czy etnicznych, a dostępność dóbr uwarunkowana była tylko dostępnością technologii. Człowiek star-trekowy rozwój swój osiągał poprzez realizację indywidualnych celów, a prestiż – poprzez realne osiągnięcia. Z kolei władza miała tylko iluzoryczne znaczenie jako forma zaspokajania narcystycznych potrzeb ludzkich.

Koncepcja technologicznej utopii została niejako rozwinięta i poszerzona w prozie sci-fi zmarłego w 2013 roku Iaina Smitha. Ten bestsellerowy szkocki pisarz znany jest m.in. jako twórca intrygującego świata Kultury, czyli międzygalaktycznego układu ras, który po szeroko zakrojonej rewolucji technologicznej i uzyskaniu samoświadomości przez AI (sztuczna inteligencja) również dotarł do punktu, gdzie optymalną opcją stał się postkapitalistyczny, postnarodowy system żywo przypominający komunistyczną utopię. Oczywiście to wszystko stało się możliwe dzięki temu, że dostępna w Kulturze technologia pozwalała wyprodukować wszystko, tym samym pozbawiając jednostki potrzeby pogoni za bogactwem czy prestiżem, a jednocześnie zapewniając pełną wolność i ochronę indywiduum. Z kolei sztuczna inteligencja poskutkowała wtórnością ludzkiej inwencji, gdyż umysł człowieka nie był w stanie dorównać mocy obliczeniowej maszyny. Najpotężniejsze AI skutecznie chroniły też tę idylliczną społeczność przed wewnętrznymi i zewnętrznymi zagrożeniami wobec wytworzonej harmonii. System Kultury, podobnie zresztą jak Federacji, nie był jednak przedmiotem krytyki, co wydawało się w niczym nie przeszkadzać czytelnikom i widzom (często zapewne o nastawieniu antykomunistycznym i prokapitalistycznym) w pokochaniu tych światów i w czczeniu ich jako niekwestionowane ikony współczesnej pop-kultury. Co ciekawe, w ramach stworzonych wizji w obu przypadkach realia te konfrontowane były z innymi alternatywnymi światami i systemami przyszłości, a w tym starciu ideowym dochodziło do dekonstrukcji tych innych jako ułomnych modeli alternatywnych (w tym nieraz dotyczyło to systemów o ewidentnie korporacyjnym zacięciu).

Powyższe nie stanowi obrony komunizmu ani nie jest rewizjonistycznym wprowadzeniem do ekonomii Karola Marksa. Jest jednak przyczynkiem do pytania o punkt docelowy ludzkości, zdawałoby się rzadko poruszanego tematu w obecnym dyskursie polityczno-gospodarczym. Pomimo rozbudowanej krytyki, także ze strony nauk ekonomicznych, trwamy

w ideowej pułapce, w której rozwój stał się celem samym w sobie. Na wszystkich płaszczyznach. W gospodarce liczy się jedynie magiczna cyfra wzrostu gospodarczego, a w firmach jest to dążenie do osiągania ciągłych zysków. Takie postrzeganie świata ekonomii znajduje swój odpowiednik w technologii i świecie nauki, w których ROZWÓJ i INNOWACJA są samowystarczalnym uzasadnieniem, ewentualnie uzupełnionym o pytanie „Ile możemy na tym zarobić?". Oczywiście jest w tym nieco przesady, ale jednak świat nauki też został wrzucony w tryby prymatu bezwzględnego rozwoju, a konstatacja, że świat uniwersytecki i sektor prywatny powinny być ściśle ze sobą powiązane, nie wzbudza żadnych moralnych zastrzeżeń, a raczej uchodzi za banalną oczywistość. Dochodzi do tego problem atomizacji społeczeństw i drugi – fałszywie sformułowanego paradygmatu wolności, który wyklucza naturę czy świat zwierząt.

Z kolei w logice postkomunistycznej doszło do realnego upupienia w świadomości, a nawet podświadomości obywateli wielu terminów, takich jak „państwo", „wspólnota", „społeczeństwo", „własność publiczna". Wszystkie one niosą w sobie bagaż doświadczeń komunistycznych, skreślane są więc koncepcje do nich nawiązujące. Z kolei za prawdy objawione przyjmuje się stwierdzenia, że własność prywatna jest najlepsza i najefektywniejsza (pytanie o to, jaka jest de facto własność korporacyjna i czy rzeczywiście jest prywatna, a tym bardziej efektywna, nie jest zadawane). W świecie nauki, ekonomii czy w ściśle powiązanej polityce brakuje jednak pytań odnośnie długoterminowych celów, kompleksowej strategii czy koncepcji systemu, który chcemy zbudować dla przyszłych pokoleń. Tymczasem sterczymy w systemie de facto utopijnym, zwanym kapitalizmem. I niczym w krzywym zwierciadle takich książek jak „1984" Orwella, od środka nie dostrzegamy, że zostaliśmy zakładnikami ideologii.

We współczesnym, zdefiniowanym przez neoliberalne koncepcje systemie, opartym na dochodzie czy zakumulowanym bogactwie, cały rozwój jednostki został wepchnięty w tryb konieczności. Jest to potrzeba zapewnienia dobrobytu dla siebie i bliskich, gdyż na więcej nas nie stać – społeczeństwo stało się fikcją, a społeczne zaangażowanie – jedynie krótkotrwałym zrywem. W epokowym zwycięstwie kapitalizmu nad komunizmem de facto zwyciężyła jedna zgniła utopia nad drugą (a „trzecia droga" została zepchnięta do defensywy). „Koniec historii" pozwolił na pogłębianie się najgorszych błędów tego turbosystemu, nie doszło natomiast do refleksji nad optymalną przyszłością. W tym postrzeganiu świata nie stworzono mechanizmów ani struktur umożliwiających rozważania, które byłyby zaczątkiem stworzenia światów takich jak harmonijna star-trekowska Federacja czy post-narodowa Kultura Iaina Smitha. Nie zadano pytania: w jakim świecie chcemy żyć?

Zapewne nie jest naszym ideałem obecny świat. Jest raczej kolejnym skrzywionym i karykaturalnym systemem ideologicznym, tym razem kapitalistycznym, w którym 62 osoby ma w swoim posiadaniu połowę bogactwa świata, gdzie systemowo utrzymywana jest fikcja, że firmy to osoby, a w imię „rozwoju" promowana jest praca niewolnicza dzieci w Azji, skupywanie czy wręcz bezprawne przejmowanie ziem w ramach tworzenia megafolwarków w tzw. Trzecim Świecie oraz pięćdziesiąt lat bezczynności i chowania głowy w piasek w obliczu faktu globalnego ocieplenia. Czas powiedzieć sobie wprost, że żyjemy w utopii, opartej na ułudzie demokratycznej kontroli, nieuchronności kumulacji bogactwa i złodziejskiej globalizacji.

Warto zadać sobie pytanie o kompleksową wizję świata przyszłości. Po co istnieją pewne fundamentalne dla naszego systemu i stylu życia mechanizmy? Czy system patentowy, dążący do kumulacji właśności nad wiedzą (a nawet nad samym życiem), jest tak naprawdę konieczny? Komu przynosi korzyści? Czy jego likwidacja nie przyczyniłaby się w rzeczywistości do demokratyzacji nauki?

Czy rozwój i nauka powinny funkcjonować w oderwaniu od etyki, choćby tej wyznaczonej przez Powszechną Deklarację Praw Człowieka? Czy też powinny zostać na skalę globalną bezwzględnie jej podporządkowane? Co prawda, oznaczałoby to elitarne światowe sądy i międzynarodowe organy kontroli, pierwsze zręby światowych władz, ale dlaczego wszystko poza prawami człowieka ma być zglobalizowane w transnarodowej gospodarce? Czy naprawdę chcemy, aby dzieci w Bangladeszu produkowały ubrania dla nas za głodowe stawki przy 10-12 godzinnych dniach pracy? Czy naprawdę pragniemy importować olej palmowy kosztem lasów Indonezji, żeby spełnić absurdalne europejskie normy odnośnie użycia biopaliw? Czy rozwój, który nie zapewnia polepszenia dobrobytu wszystkim, jest rzeczywiście rozwojem?

Tu z kolei dochodzimy do wpływu technologii na świat pracy i ludzi. Przy dekonstrukcji XX-wiecznego modelu pracy i skracającej się przydatności/funkcjonalności całej rzeszy ludzi na rynku pracy, wraz z koncentracją bogactwa, które – jak empirycznie już wiemy – nie „skapuje w dół", wkrótce pojawi się zasadnicze pytanie odnośnie naszego modelu rozwoju. Będzie mowa o koncepcji „minimalnego dochodu gwarantowanego", który całkowicie zmieni umiejscowienie pracy w logice systemu. Alternatywnie możemy dalej trwać przy nieuzasadnionej wierze, że niekontrolowany wzrost możliwy jest ad infinitum, ale rzesze wykluczonych przy postępującej nierówności dochodów będą tylko rosnąć. To podejście musi spotkać się z nieuchronnym kontratakiem (zresztą pierwszy kontratak przybrał formę wzrostu ksenofobii i protofaszystowskich ruchów na świecie i w Europie). Zderzymy się też z barierą spowodowaną nieuniknionym spadkiem ludności, najpierw w Europie czy w niektórych krajach Azji, ale wkrótce zjawisko stanie się globalne (wręcz im wcześniej, tym lepiej). W warunkach spadku populacji i wyczerpywania się zasobów wejdziemy więc w bezpośredni konflikt z kapitalistycznym paradygmatem rozwoju. Przyjdzie czas, a wierzę, że stanie się to dużo wcześniej niż jesteśmy tego świadomi, iż zaistnieje konieczność wybrania dalszej drogi działania. W futurologicznych meandrach różnych alternatyw większość wiąże się z wojną, dyktaturami, totalitaryzmami, konfliktami religijnymi na niespotykaną dotychczas skalę. Wśród tych różnych możliwych dróg sam widzę tylko jedną świetlaną: Uwolnienie i egalitaryzacja wiedzy i technologii w globalnym postnarodowym społeczeństwie, gdzie praca jest nie tyle obowiązkiem, co potrzebą serca. Czyli wkroczenie na drogę do utworzenia realnej Federacji.

Fot. Flickr.com by emrank

ZIELONE WIADOMOŚCI

ISSN 1898-8717 08

ZIELONE WIADOMOŚCI są bezpłatnym dodatkiem do „Zielono i w poprzek"

Wydawca: Fundacja ZIELONE ŚWIATŁO, ul. Juraty 1, 02-798 Warszawa

Redaguje zespół:
Bartłomiej Kozek, Piotr Kozak, Wojciech Kłosowski, Marek Kryda, Beata B. Nowak (red. nacz.), Marek Nowak, Jan Skoczylas, Ewa Sufin-Jacquemart

Skład, DTP: Ananas Studio

Nakład: 10 tys. egz.

redakcja@zielonewiadomosci.pl

www.zielonewiadomosci.pl